Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 131 (Rok IX, Nr 2) Luty, 1949 Cena (Price) 2/-

DOKTRYNA I EKSPANSJA

POSPOLITY do niedawna był na Zachodzie błąd, polegający na traktowaniu polityki sowieckiej wyłącznie jako wyrazu imperializmu rosyjskiego — imperializmu, który nie różnił się zasadniczo od polityki ekspansji, uprawianej przez Rosję carską od Piotra Wielkiego. Czynnik doktrynalnego fanatyzmu komunistów moskiewskich nie był poważnie brany pod uwagę ani w Londynie, ani w Waszyngtonie — i tu tkwi źródło wielu błędów, popełnianych przez polityków anglosaskich co najmniej od czasów konferencji teherańskiej. Dopiero stopniowo sukcesy infiltracji komunistycznej w starych krajach pobrzeża Atlantyku i Morza Śródziemnego, zwłaszcza we Francji i Włoszech, oraz wśród narodów azjatyckich otworzyły Zachodowi oczy na siłę komunizmu, jako pewnej nowej koncepcji cywilizacyjnej potrafiącej — jak ongiś islam — gromadzić wokół siebie szeregi oddanych i zapalonych wyznawców.

Równocześnie w kołach politycznych Anglii, Stanów Zjednoczonych i Francji poczęto wreszcie na serio studiować pisma i wypowiedzi Lenina i Stalina; okazało się, jak wiernie stosuje się do ich wskazań strategia i taktyka polityczna Sowietów oraz kierowanych z Moskwy piątych kolumn komunistycznych na całym świecie. W związku z tym uświadomiono sobie niezwykłe sukcesy odniesione w ciągu lat ostatnich przez doktrynę i praktykę stalinowskiego marksizmu, zwłaszcza w dziedzinie podminowywania i wchłaniania całych narodów. Jeszcze większe wrażenie na Zachodzie zrobiło „odkrycie" tezy marksizmu o nieuniknionym finalnym starciu zbrojnym świata komunistycznego z kapitalistycznym — tezy, która godzi w same podstawy polityki „ułożenia się" z Rosją Sowiecką na dłuższy czas i powodować musi obustronny, gorączkowy wyścig zbrojeń.

W rzeczywistości zarówno polityka hitlerowskich Niemiec, jak bolszewickiej Rosji była zawsze mieszaniną ekspansjonizmu, właściwego niemal wszystkim wielkim organizmom państwowym, z próbami realizowania panującej doktryny totalistycznej, w pierwszym wypadku narodowo-socjalistycznej, w drugim komunistycznej.

Hitler w polityce swej był bardziej doktrynerski i mniej elastyczny od Stalina, a tym bardziej od Mussoliniego. Prawda, że w r. 1939, po nieudałych próbach wciągnięcia Polski do wyprawy na Rosję, zawarł ze względów taktycznych pakt z bolszewikami, na przekór wszystkiemu co mówił i deklarował poprzednio. Niemniej przez cały czas istnienia Trzeciej Rzeszy sztywność doktryny narodowo-socjalistycznej — niekiedy tylko trochę przytłumiana — stanowiła poważną przeszkodę dla ekspansji typu „pokojowego", jakiej wzory dały potem Sowiety. Głośno proklamowana doktryna wyższości rasowej oraz prawa Niemiec do „przestrzeni życiowej" i eksploatowania innych, mniej jakoby wartościowych narodów odstraszać musiała nawet te odłamy społeczeństw obcych, które okazywały ciążenie do niektórych aspektów narodowego socjalizmu. Doktrynerstwo Hitlera zamanifestowało się jeszcze silniej w czasie wojny przez sposób traktowania podbitych narodów oraz przez masakrę kilku milionów Żydów. Akty te — pomijając już ich bezprzykładną ohydę — sprzeczne były z wszelkimi zasadami strategii politycznej i wydatnie przyśpieszyły drugą w wieku XX katastrofę imperializmu niemieckiego, zakrojonego na miarę światową.

Faszyzm włoski — zwłaszcza w początkowym okresie — mimo wszystkich swych cech ujemnych wykazywał mniej doktrynalnej ciasnoty co hitleryzm — później jednak wzory i naciski z drugiej strony Alp ciążyć poczęły coraz silniej na polityce Mussoliniego. Przez to Włochy zaprzepaściły — być może bezpowrotnie — szansę odegrania wielkiej roli w dziejach Europy, przeżywającej dziś okres tragicznego rozbicia i degradacji.

Polityka sowiecka uchodziła do niedawna — i słusznie — za wzór pozbawionej skrupułów elastyczności i umiejętności dostosowywania się do zmieniających się warunków. Postępuje ona etapami, nie unika przejściowych kompromisów, przeciwnie często je inicjuje. Gdy jej posunięcia wywołają zbytnie zdenerwowanie u partnerów pośpiesza z uspokajającymi, nieszczerymi frazesami, wiedząc, że znajdą one na Zachodzie niezawodny oddźwięk, — a nawet gdy potrzeba wycofuje się z tych pozycji, które są w danej chwili nie do utrzymania. Przy tym jednak systematycznie i niezachwianie zmierza do wytkniętych celów. W prasie Zachodu wyrażana jest od pewnego czasu opinia, że Sowiety przeholowały w swej taktyce obstrukcyjnej — zwłaszcza na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz w rokowaniach na temat kontroli energii atomowej — i przez to ściągnęły na siebie kontrofensywę mocarstw anglosaskich, która wyraziła się w planie Marshalla, w przygotowywanym pakcie atlantyckim i w podjęciu ostrej propagandy antykomunistycznej. Tak rozumując zapomina się jednak znowu, że polityka Moskwy oparta jest na tezie o nieuniknionym i niezbyt odległym starciu zbrojnym z Zachodem, tezie prawdopodobnie słusznej — i stąd to, co Sowiety robią, oceniać należy w wielkiej mierze z punktu widzenia przygotowań do tego starcia. Zastosowanie tej miary pozwala na łatwiejsze zrozumienie wielu posunięć sowieckich w ostatnich kilku latach.

Należy tu wzmożone — zwłaszcza od czasu niefortunnych doświadczeń z

Titem — tempo sowietyzacji krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Byłoby jednak znowuż omyłką traktować ten proces jako podyktowany wyłącznie względami natury praktycznej; dążność do pełnej realizacji doktryny marksistowskiej odgrywa w nim rolę na pewno równie doniosłą. Uwięzienie kardynała Mindszentyego, zaostrzająca się w całej strefie sowieckiej walka z Kościołem, niszczenie reszty warstwy mieszczańskiej, wprowadzanie kołchozów na wsi — wszystko to zmierza do likwidacji tych warstw i instytucji społecznych, które uważane są za antagonistyczne w stosunku do systemu sowieckiego i które w ramach jego pomieścić się nie dadzą.

Motorem działania dawnych despotów wielkiego stylu była głównie nieokiełznana żądza władzy dla władzy samej. Motorem działania dzisiejszych władców Kremla — obok żądzy władzy i bodźców natury nacjonalistycznej — jest wiara w niezawodną słuszność ponurej doktryny, której służą i przy pomocy której interpretują „naukowo" całość spraw ludzkich.

Przewrót społeczny, gospodarczy i kulturalny, narzucany przez nich krajom, które opanowali, przekracza swą nagłością i całkowitością wszystkie dotychczasowe przemiany w dziejach świata naszej cywilizacji. Groźba, jaka nad tą cywilizacją zawisła, odwrócona być może tylko przez wiarę co najmniej równie silną jak fanatyzm władców Kremla, wiarę w wartości hierarchicznie najwyższe i wolę ich zachowania. Niebezpieczeństwem największym jest niewłaściwa hierarchia wartości, których należy bronić, małość ludzi i haseł, handlowanie całymi narodami od wieków stanowiących nieodłączną część cywilizacji zachodniej, chroniczne branie życzeń za rzeczywistość, czy nawet dojutrkowanie z na pół świadomą rezygnacją a p r è s n o u s l e d e l u g e.

KARDYNAŁ PRYMAS MINDSZENTY

Nie ulega wątpliwości, że aresztowanie głowy Kościoła Katolickiego na Węgrzech ks. prymasa kardynała Mindszentyego zostało zadekretowane w Moskwie i przekazane do wykonania agentom komunistycznym rządzącym w Budapeszcie. Według wiadomości ze źródeł watykańskich rozkaz brzmiał krótko: „Zlikwidować". Specjalna komisja złożona z wybranych węgierskich przewódców komunistycznych rozważała wpierw możliwości pozbycia się Kardynała drogą zmuszenia go do ucieczki z kraju, bądź spowodowania „nieszczęśliwego" wypadku. Widocznie oba pomysły okazały się trudne do wykonania, wobec czego chwycono się trzeciego środka: aresztowania i procesu, a więc wymuszenia przyznania się do winy drogą tortur lub innych środków. Proces zakończyć się może jedynie wyrokiem skazującym na długoletnie więzienie lub — czego w żaden sposób wykluczyć nie można — śmierć.

Zachowanie się świata zachodniego w sprawie aresztowania Księcia Kościoła Katolickiego nasuwa smutne refleksje. Świat katolicki zareagował powszechną solidarnością w potępieniu barbarzyńskiego gwałtu dokonanego na osobie jednego z wielkich duszpasterzy naszych czasów, a Kościół sam niezwłocznie użył środka najsilniejszego jaki posiada w stosunku do sprawców i uczestników gwałtu — ekskomuniki. Nawet hierarchia anglikańska przez usta Arcybiskupa Canterbury i Biskupa Chichester wypowiedziała ostre słowa potępienia. Z drugiej natomiast strony rządy krajów zachodnich, rzekomo chrześcijańskich, nie potrafiły, czy też nie chciały zająć jasnego stanowiska wobec tego niesłychanego aktu rozzuchwalenia się władców komunistycznych. W jednym z wielkich pism londyńskich, tzw. liberalnych, znalazł się nawet paragraf twierdzący, że aresztowany Kardynał był zwolennikiem „landlordów" (choć wiadomo, że jest pochodzenia chłopskiego), że chciał odbudowy monarchii (jakby to było zbrodnią), i że bronił „reakcyjnego" wychowania katolickiego w szkołach (gdzie filozofia komunistyczna może je tylko zastąpić).

Społeczeństwa zachodnie, zmaterializowane do szpiku kości, zdają się wołać jak ongiś „panem et circenses". Powolne tym przyziemnym pragnieniom ich rządy widocznie przywiązują większą wagę do zawierania traktatów handlowych o przywozie bekonu i jaj, aniżeli o najbardziej zasadnicze wartości duchowe cywilizacji chrześcijańskiej.

Tylko Kościół Katolicki stać na męczenników świętej wiary. Oni odkupią grzechy świata współczesnego.

STRONNICTWO NARODOWE DO OJCA ŚWIĘTEGO

Komitet Polityczny Stronnictwa Narodowego na posiedzeniu w dniu 14 stycznia 1949 r. uchwalił następującą rezolucję:

Dowiadujemy się z oburzeniem o aresztowaniu J. Em. ks. kardynała Mindszenty, prymasa Węgier. Znając przywiązanie narodu węgierskiego do Kościoła i Stolicy Apostolskiej, wiemy jak dalece ten akt gwałtu jest sprzeczny z jego najgłębszymi uczuciami. Widzimy w tym akcie początek szeregu zamachów skierowanych przeciw wolności Kościoła w różnych krajach poddanych władztwu Moskwy. Wiemy, jak groźne jest to niebezpieczeństwo w Polsce.

W tych trudnych chwilach, wobec prześladowania wymierzonego w Kościół, pragniemy dać wyraz naszym uczuciom głębokiego bólu i żywego oburzenia. Składamy u stóp Waszej Świątobliwości wyrazy synowskiego przywiązania i zapewnienia naszej stałej i oddanej wierności.

PLAN TRUMANA

Politycy amerykańscy lubią używać wielkich słów, gdy przemawiają do szerokich mas własnego społeczeństwa i wszystkich ludów świata. Ostatnie przemówienie Trumana wygłoszone z okazji złożenia przysięgi prezydenckiej miało wszelkie znamiona amerykańskiego rozmachu. „Dzień dzisiejszy — brzmiały słowa prezydenta — stanowi rozpoczęcie nie tylko nowej administracji, ale również brzemiennego okresu, który może być decydujący dla nas i dla świata."

Spośród czterech punktów programu Trumana trzy pierwsze potwierdziły dotychczasowe linie działania polityki amerykańskiej: podtrzymanie Organizacji Narodów Zjednoczonych, plan Marshalla odbudowy Europy oraz pakt atlantycki, którego zadaniem ma być „wzmocnienie pokój miłujących narodów w obliczu niebezpieczeństw agresji". Punkt czwarty natomiast, w którym Truman zapowiedział udostępnienie dobrodziejstw amerykańskich osiągnięć naukowych i przemysłowych obszarom niedorozwiniętym, wskazuje nowy kierunek polityki amerykańskiej. Nie dziw więc, że właśnie ten punkt wywołał szerokie echo w prasie światowej i zapewne stanowić będzie na długi czas przedmiot intensywnych narad wielu rządów, zwłaszcza rządów Wspólnoty Brytyjskiej.

W przełożeniu na język praktyczny zapowiedź prezydenta Trumana oznacza głębsze niż dotąd zainteresowanie się polityki amerykańskiej obszarami Azji Południowej, Bliskiego Wschodu i Afryki. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dwie są główne przyczyny przesunięć w hierarchii celów polityki Stanów Zjednoczonych, jeśli chodzi o globalny plan strategiczny. Pierwszą jest zwycięstwo komunistów w Chinach i konsekwencje tego zwycięstwa w Azji. Drugą przyczynę zaś stanowią trudności, a raczej nikłe rezultaty osiągnięte w Europie zachodniej pomimo stosunkowo dużego nakładu amerykańskich środków materialnych. Nie jest tajemnicą, że od dłuższego czasu Amerykanie są zniecierpliwieni przeciągającym się brakiem rzeczywistej konsolidacji krajów zachodnio-europejskich. Wielka Brytania, choć oficjalnie opowiada się za zjednoczoną Europą zachodnią, w praktyce zmierza przede wszystkim do odbudowy własnej siły gospodarczej i wzmocnienia więzów Wspólnoty Brytyjskiej. Z drugiej strony na samym kontynencie, zwłaszcza we Francji, myśli się głównie o tym, jak uniknąć zmiażdżenia między dwoma kamieniami młyńskimi, sowieckim i amerykańskim. Koncepcja „trzeciej siły" jest wciąż dominującym elementem myślenia politycznego na kontynencie. W tych warunkach blok zachodni nie stanowi i na długi czas nie będzie stanowił tej siły wojskowej, jakiej spodziewano się w Waszyngtonie. Nie wynika stąd, by polityka amerykańska zamierzała wycofać się z Europy. Punkt czwarty prezydenta Trumana oznacza szukanie reasekuracji interesów amerykańskich wobec wewnętrznej słabości tego, co po Jałcie zostało wolną Europą.

INDONEZJA

Dziwaczne to trochę widowisko, gdy kraje anglosaskie stoją w ogniu świętego oburzenia na Holendrów za ich próbę przywrócenia siłą porządku na Jawie i Sumatrze. Największym oburzeniem zapałała Australia, która nie wpuszcza do siebie ludzi kolorowych, a nie tak dawno temu wytępiła pierwotnych mieszkańców swego kontynentu. Na sąsiadującym z Indonezją i stanowiącym jej przedłużenie Półwyspie Malajskim Brytania właśnie siłą przywraca porządek.

Holendrzy wyróżniali się korzystnie wśród Europejczyków jako kolonizatorzy. Podnosili poziom gospodarczy i kulturalny Indii Holenderskich, dawali dobrą administrację i dobre szkoły. Przy tym nie mieli tego rasistowskiego stosunku do kolorowych, którym odznaczały się ludy anglosaskie i małżeństwa holendersko-malajskie były na porządku dziennym a po ulicach Amsterdamu chodzi wielu ludzi, których czarne błyszczące oczy i śniade ręce o delikatnym przegubie świadczą o silnej domieszce krwi brunatnej.

Indie Holenderskie czyli Indonezja były okupowane przez Japończyków jeszcze przez dłuższy czas po kapitulacji Japonii i okupanci pozostawili po sobie na wielu wyspach uzbrojone bandy quislingowskie. Ludność Indonezji w liczbie 66 milionów składa się z najrozmaitszych ludów o bardzo różnym poziomie cywilizacyjnym. Najwyżej stoją dawni panowie wysp, muzułmańscy Malajowie, ale nie stanowią oni wszędzie większości. Wielkie wyspy, jak Borneo, Celebes, Jawa, Sumatra to osobne kraje o różnym układzie narodowościowym i społecznym niewiele z sobą mające wspólnego, zaś czarna Nowa Gwinea i otaczające ją wysepki, to zgoła inny świat.

Tak zwana republika indonezyjska, przeciw której występują siły holenderskie, obejmuje części dwóch wysp zachodnich, tj. Jawy i Sumatry, nie sięgając na resztę archipelagu. W jej łonie ścierają się i mieszają dawni agenci japońscy i obecni agenci sowieccy. Władze jej nie panują nad sytuacją i ta część kraju, której nie zajęli Holendrzy, opanowana jest przez bandytów. Celem Holendrów nie jest przywrócenie stanu kolonialnego, lecz utworzenie z całego archipelagu Stanów Zjednoczonych Indonezji powiązanych z Niderlandami związkiem niewiele ściślejszym niż ten, jaki łączy Indie z Brytanią, czy Filipiny ze Stanami Zjednoczonymi.

Jak zatem wytłumaczyć oburzenie krajów anglosaskich? Dwa wydarzenia zdają się na to rzucać światło: klęska Czanga w Chinach i konferencja południowo-azjatycka w Delhi.

Zaporą przeciwsowiecką w Azji miały być, wedle wyobrażeń anglosaskich z końca wojny, Chiny. Utrzymanie tej zapory okazało się jeśli nie całkiem niemożliwe to w każdym razie zbyt kosztowne. Chiny, może dlatego, że zawsze były więcej cywilizacją niż narodem, a może dlatego także, że konfucjańskie źródło ich kultury wyschło, okazały się mało zdolne do wielkiego ruchu narodowego a dość podatne na komunizm. Chińczycy stali się poza Chinami, w południowej Azji, głównym rozsadnikiem komunizmu. Chińczycy są wśród ludów Azji południowej bardzo niepopularni. Dla potęg przede wszystkim morskich, jakimi są Stany i Brytania, Chiny nie były bazą wojskowo dogodną.

Pęknięcie wału chińskiego otworzyło problem obrony mórz południowych, problem szczególnie denerwujący dla Australii i Nowej Zelandii, niepokojący dla Indii i Cejlonu.

Anglicy, dając niepodległość Indiom, Cejlonowi i Birmie, nie działali pod wpływem przymusu, lecz przewidywania. Epoka kolonialna skończyła się. Lepiej się było wycofać z możliwością zysku politycznego zawczasu niż z samymi stratami poniewczasie. Zysk polityczny polega na tym, że w stosunku do ludów Azji Anglia nie jest dziś już najeźdźcą lecz partnerem, podobnie jak Ameryka. Anglia nie mogłaby zorganizować konferencji państw południowo-azjatyckich w Delhi, niepodległe Indie mogą. Dużo większą wartość obronną ma porozumienie rządów niepodległych państw azjatyckich od porozumienia gubernatorów niezbyt pewnie siedzących w swych koloniach. Kraje anglosaskie prostują w Azji swoją załamaną w świecie linię ideową. Po ich stronie zaczyna być uniwersalizm narodowych niepodległości przeciw uniwersalizmowi komunistycznej federacji. Tę linię swoją akcją, jakkolwiek uzasadnioną, załamują Holendrzy. Dlatego oburzenie i dlatego próby nacisku, by spór w Indonezji zakończyć ku zadowoleniu Malajów.

Kropkę nad i stawia wiadomość, że do Hagi przybył szef sztabu Unii Zachodniej marsz. Montgomery, by wytłumaczyć Holendrom, że wycofanie wojsk z Indonezji jest ich obowiązkiem jako członka Unii.

ŚWIADECTWA Z KRAJU

Od naocznych świadków otrzymaliśmy niezmiernie cenne choć fragmentaryczne naświetlenia obecnych warunków w kraju. Wartość ich podnosi fakt, że pochodzą one od ludzi prostych, a więc stanowią jednocześnie świadectwo, jak szerokie rzesze społeczeństwa patrzą na rządy komunistyczne.

Cytujemy:

„Polityka rządowa, faworyzująca spółdzielnie przy pomocy coraz to nowych ustaw, zabija w zupełności prywatny handel i drobny przemysł. W październiku 1948 r. nałożono specjalny podatek na rzecz odbudowy w wysokości od 1 do 10 pct obrotów, osiągniętych od marca do września. Ustawy podatkowe przewidują zupełnie inne stawki dla spółdzielni, znacznie niższe, niż dla przedsiębiorstw prywatnych. Z powodu wysokich podatków przedsiębiorstwa prywatne zmuszane są likwidować się same względnie są za zaległości podatkowe konfiskowane. Dekretami, jak np. ostatnio wydany dekret o regulacji rynku mięsnego, oddający cały handel i przewóz pod kontrolę Ministerstwa Handlu i Przemysłu, — likwiduje się zupełnie prywatnych przedsiębiorców w tej dziedzinie. Z ogólnej ilości 1.500 prywatnych przedsiębiorców, ubiegających się o koncesję na handel bydłem i wyrobami mięsnymi, ma być uwzględnione tylko 300. Jest pewne, że spośród nich będą wybrani tylko ludzie z PZPR. W ten sposób w szybkim tempie przemysł i handel zostaną po prostu upaństwowione."

* * *

„W Szczecinie znajduje się wiezienie przejściowe przy ul. Kaszubskiej. Siedzi tam przeciętnie około 4.000 osób podejrzanych o przestępstwa polityczne względnie schwytanych przy usiłowaniu przejścia granicy. Są to przeważnie zbiegowie polityczni, częściowo „czarnohandlowcy". W więzieniu tym przy ul. Kaszubskiej, róg Potulickiej, siedzi każdy zatrzymany do czasu ukończenia śledztwa i rozprawy. W obrębie więzienia znajdują się sądy grodzki, okręgowy i doraźny. Sąd wojskowy położony jest w Alei Wojska Polskiego i Placu Sprzymierzonych. Zasądzeni na karę śmierci traceni są na miejscu w więzieniu. W więzieniu na strychu znajduje się szubienica. Katem więzienia jest sierżant W.P. Stankiewicz. lat ok. 32. W piwnicach więzienia tenże sam kat rozstrzeliwuje ludzi przy obecności prokuratora sądu doraźnego.

„Wieszania odbywają się o zmroku. W więzieniu w tym czasie zapowiada się półgodzinną ciszę. Również w godzinach wczesnych porannych, kiedy odbywają się rozstrzeliwania, więźniowie między sobą zapowiadają ciszę.

„Trzydzieści kilometrów od Szczecina, w Goleniowie, znajduje się centralne więzienie karno-śledcze w Polsce. Tam jest zarejestrowanych około 20.000 więźniów.

„W Szczecinie w więzieniu przy ul. Kaszubskiej w celi przygotowanej na jedną osobę, z jednym żelaznym łóżkiem wmontowanym w ścianę, pakuje się po 12 osób. Prokuratorem w sądzie okręgowym jest Żydówka nazwiskiem Kiernowa, lat około 30, średniego wzrostu, brunetka, bardzo źle nastawiona do więźniów politycznych. W śledztwie stosowane są różnego rodzaju tortury, jak wbijanie igieł za paznokcie, bicie żelaznym prętem po piętach, bicie pałką gumową. Kopanie i bicie po twarzy stosowane na każdym kroku."

* * *

„Centralny port szczeciński oddany jest wyłącznie do użytku rosyjskiego. Drugi port na Golęcinie — przedmieście Szczecina — również jest oddany do użytku sowieckiego. Port w Świnoujściu przy Odrze także jest w posiadaniu marynarki sowieckiej. Tylko część portu przy Urzędzie Nawigacyjnym oddana jest marynarce polskiej.

„Port szczeciński jest centralą czarnego handlu. Z Niemiec przemyca się na wielką skalę specjalne aparaty elektrotechniczne, lampy radiowe, wieczne pióra, wyroby gumowe, skórę, lekarstwa, części samochodowe. Wymianą za słoninę, tłuszcze, spirytus. Ze Szwecji przemyca się zegarki, wyroby skórzane, wieczne pióra, materiały i papierosy amerykańskie, wywozi się spirytus. Z Belgii brylanty, złoto, zegarki i wieczne pióra, środek płatniczy również przeważnie spirytus. Za handel nielegalny wielkie kary. Przeważnie zsyłka do obozu pracy. Największy obóz pracy znajduje się w Nielęcinie. Osadzają tam za wszelkiego rodzaju nadużycia, czarny handel, przemyt i łapownictwo.

„W miarę pogarszania się stosunków wzrastają coraz więcej sympatie do

rządu londyńskiego. Jedynie z tej strony ludzie spodziewają się wybawienia."

* * *

„Znam tylko nastroje własnej gminy i powiatu. Mieszkańcy, to przeważnie repatrianci ze wschodniej Polski. Ich stosunek do władz i komunizmu wrogi. Żaden gospodarz nie uprawia całej swej roli. Gdy ostatniej jesieni starosta objeżdżał powiat i badał przyczyny zostawienia gruntu odłogiem, jeden z chłopów, repatriant z Wileńszczyzny, odpowiedział mu, że nie ma żadnego interesu uprawiać całego gruntu, a tylko tyle, co dla swoich potrzeb, bo wkrótce będą kołchozy i wszystkie gospodarstwa będą zabrane do kołchozów. Gdy go starosta zapytał, kto mu to mówił, bo to jest nieprawda, na to chłop odpowiedział, że powszechnie ludzie tak mówią, a i on sam jest o tym przekonany, bo on już był pod sowiecką okupacją, więc on wie z własnego doświadczenia, że wcześniej czy później przyjdą kołchozy. O kołchozach oficjalnie mówić nie wolno, jest to nawet karalne. Oficjalnie mówi się tylko, że zostanie zaprowadzona spółdzielcza gospodarka rolna."

* * *

„Linia szerokotorowa prowadzi z ziem okupowanych przez Sowiety w Niemczech poprzez Szczecin, Gdańsk, Mławę, Białystok do Moskwy. Tą linią szerokotorową wywożą bolszewicy produkty rolne z majątków dużych poniemieckich, na których pozakładali kołchozy, obsadzając je swoimi ludźmi. Na majątkach tych zatrudniają zdemobilizowanych swoich żołnierzy. Na jednym z takich dużych majątków w Sławnie prowadzone jest wzorowe gospodarstwo i duża pasieka, około 150 roi, duże tartaki, przy czym wszystko z tych majątków, które są strzeżone przez żołnierzy sowieckich, wywożone jest do Rosji."

* * *

„Mimo dużych sprzeciwów ze strony polskich rolników w Miechowskim oraz okręgu rzeszowskim przeprowadza się kolektywizację, tworząc wspólne majątki kołchoźne. Na tym tle dochodzi stale do zajść między chłopami a władzami, względnie tymi, którzy w imieniu władzy przychodzą do pracy z traktorami, aby zaorać granice posiadłości. Gospodarstwa parafialne, to jest ziemie należące do parafii, z której proboszczowie płacili podatki i kontyngenty, są traktowane na równi z innymi gospodarstwami w przeprowadzaniu kolektywizacji. Księża mają dużą pomoc ze strony parafii. Ludność na ogół nastawiona jest antykomunistycznie i antyrządowo. Za przekonania ludzie są aresztowani i wywożeni. W lipcu 1948 r. wrócił zesłaniec z Syberii, który był aresztowany w r. 1945. Po powrocie nawet swoim najbliższym w domu nic nie chciał opowiedzieć ze swych przeżyć od aresztowania aż do uwolnienia z zsyłki. Przez dłuższy czas agenci UB próbowali go sprowokować, w końcu zostawili go jednak w spokoju."

* * *

„Dowódcą batalionu w Modlinie był podpułkownik Golubicki, lat około 45, Rosjanin w mundurze polskim. Zastępcą dowódcy a zarazem szefem sztabu również Rosjanin, major Mazur. Do każdej kompanii przydzielony oficer polityczny — zawsze człowiek, który przynajmniej kilka lat był w Rosji, przeważnie Żyd, czasem Rosjanin, rzadko Polak. Wykłady polityczne odbywają się dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, po dwie godziny. Uczyli, gdzie, w jakim państwie, jaki jest ustrój polityczny, jakie są układy handlowe i z kim nawiązane, co się przywozi, a co się wywozi. Mówiono, że wszystkie ustroje złe, burżuazyjno-reakcyjne, a że najlepszy jest ustrój sowiecki, a potem dopiero polski i innych demokracji ludowych. Umundurowanie z materiału rosyjskiego, krój polski."

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

NIEMCY, ROSJA I KWESTIA POLSKA

UWAGI WSTĘPNE

ŻADNE bodaj społeczeństwo europejskie nie cierpi tak bardzo na brak ciągłości politycznej, jak polskie. W każdym niemal pokoleniu jakiś kataklizm przerywa ciągłość doświadczeń i myślenie polityczne oraz wynikająca z niego praktyka zaczynają się od nowa. Powoduje to niesłychane marnowanie energii i wywołuje przyzwyczajenie do improwizacji, prowizoryczności, nawet tandety. Polskie budowanie polityczne jakby wywodziło się z polskiego budownictwa wiejskiego: bardzo oryginalne, ale nie przetrwa wieku, bo z drzewa nie z kamienia. Gdy np. w Anglii najbardziej nawet rewolucyjnie myślący politycy co chwila muszą porównywać swoje poglądy z poglądami poprzedników i nie mogą się uwolnić od świadomości z czym walczą i od czego odbiegają, w Polsce najczęściej początkujący polityk zachowuje się jak źrebak po raz pierwszy wypuszczony na pastwisko. Dlatego w życiu naszym ma szczególnie wielkie znaczenie zachowanie ciągłości myślenia politycznego, istnienie szkół politycznego myślenia.

Szkoła bynajmniej nie oznacza dreptania w kółko ani zabijania indywidualności. Arystoteles wyszedł ze szkoły Platona i nie doszedłby tak daleko, gdyby zaczynał od początku. Znaczenie szkoły, każdej szkoły, a więc także i szkoły myśli politycznej polega na tym, że wytwarza ona pewną ilość wspólnych podstawowych pojęć, wytwarza wspólny język polityczny i metodę rozpatrywania zagadnień, że pozwala łatwo ustalić o czym się mówi, od czego się odstępuje, do czego się nawraca, albo co się krytykuje. Niebezpieczeństwo zaczyna się dopiero tam, gdzie szkoła przeradza się w scholastykę, gdzie pisma jakiegoś polityka uznano za dogmat, zabroniono je oceniać krytycznie, a dozwolono tylko je interpretować w określonych ramach. Potem skostnienie idzie jeszcze dalej, pewne interpretacje zostają uznane za nieomylne, wolno już tylko komentować interpretacje i scholastyka zamienia się w Talmud. Tak stało się na przykład u komunistów. Przed takim zwyrodnieniem myślenia politycznego bardzo przestrzegał Roman Dmowski. Widząc czołobitne stanowisko młodszego otoczenia, powtarzał: „Nie bądźcie talmudystami!".

Istotnie nie można bodaj zrobić większej krzywdy dorobkowi jakiegoś wybitnego pisarza i działacza politycznego, jak poszczególne jego tezy czy akcje traktować w oderwaniu od całości i przykrawać do innych czasów i ludzi drogą interpretacji formalnej. Gdy zaś polemika ideowa sprowadza się do tego, że jakiemuś twórcy szkoły politycznej przyczepią się epitet podbudowany ułomnymi cytatami, i na tej podstawie polemizuje się z nim, to obniża się po prostu poziom polityczny swego społeczeństwa.

ISTOTA KONCEPCJI

Miarą wielkości pisarza jest to, jak długo po ukazaniu się jego dzieła budzi ono kontrowersje i pobudza do twórczości. Dziś, w przeszło czterdzieści lat od ukazania się książki „Niemcy, Rosya i kwestya polska", jest ona przedmiotem polemik i źródłem cennych nauk. Znaczenie jej polega na tym, że jest, rzecz to rzadka w historii, jasnym wykładem, napisanym w niesłychanie trudnych warunkach politycznych i cenzuralnych[1]), zamierzonej polityki autora i jego ruchu na szereg lat, polityki przeprowadzonej następnie w okolicznościach, które tylko w najbardziej ogólnych i mglistych zarysach można było przewidywać. Tu od razu mała, ale konieczna uwaga: Dmowski nie był i nie usiłował być prorokiem. Nie twierdził, że wojna światowa wybuchnie za kilka lat i że wszystkie trzy mocarstwa rozbiorcze zostaną pokonane. Nikt tego zresztą wtedy nie twierdził. Dmowski dowodził tylko, że wojna między Niemcami a Rosją, Francją i Anglią wybuchnie za życia jego pokolenia i że ustrój Rosji carskiej jest na dłuższą metę nie do utrzymania.

Istotą koncepcji politycznej wyłożonej w „Niemcy, Rosya i kwestya polska" jest postawienie narodu polskiego w obozie koalicji przeciwniemieckiej. Nie kieruje się tu autor pobudkami sentymentalnymi ani doktrynalnymi, ani w stosunku do Niemiec ani do Rosji. Konieczność pójścia przeciwko Niemcom a z koalicją nie wynika w jego wywodzie bynajmniej z pozytywnej oceny Rosji, ani z jakichś wspólnych interesów rosyjsko-polskich. Najistotniejszą i najobszerniejszą część książki stanowi wykład o słabości Rosji carskiej i tym, że

---

1) Dmowski pisał książkę jako poddany rosyjski, w Warszawie, wydawał ją w Austrii, we Lwowie, a przeznaczał jednocześnie dla czytelnika polskiego wszystkich zaborów i dla zachodniej Europy, tłumacząc ją na francuski. Przetłumaczono ją także na fiński.

jest ona organicznie niezdolna do rozwiązania sprawy polskiej w swoim państwie. Myśl Dmowskiego można ująć w największym skrócie w jednym zdaniu tak: Niemcy ze swoją polityką, organizacją, gospodarką i wojskiem są zdolne urządzić po swojemu Europę środkową, przeznaczając w niej Polsce miejsce małego kraju pozbawionego możności opierania się narodowi niemieckiemu; Rosja jest w stanie rozkładu, i albo przekształci się w państwo narodowe bez ziem nierosyjskich, albo padnie ofiarą wielkiej rewolucji, nie jest ona w stanie nie tylko zniszczyć narodu polskiego, ale nawet utrzymać go pod swym panowaniem. Jest w tym myśleniu porzucenie pozorów dla uchwycenia faktów. Niemcy mogli mówić najlepiej o sprawie polskiej, rząd niemiecki mógłby być nawet życzliwy (jak nie był) narodowi polskiemu, a mimo to położenie obu narodów sprawiało, że w praktyce Niemcy musieli dążyć na dłuższą metę do zniszczenia narodu polskiego przez samą logikę ich wewnętrznej dynamiki. Rosjanie mogli mieć jak najgorsze zamiary względem Polski, rząd rosyjski mógł być jej jak najbardziej wrogi a mimo to w praktyce nie mogli zapobiec na dłuższą metę odbudowaniu państwa polskiego.

Wartość całej koncepcji zależała od tego, czy Dmowski trafnie oceniał siły i możliwości Niemiec i Rosji. Różnica nie polegała przecież na tym, że narodowcy woleli Rosję a lewicowcy woleli Niemcy, ale na tym, że za główne niebezpieczeństwo w ówczesnym położeniu jedni uważali Niemcy a drudzy Rosję. W istniejących warunkach jedna z tych ocen musiała być niesłuszna. Dziś wiemy, że ocena Dmowskiego była słuszna i że zawiodła go do Wersalu. Niemcy byli o krok od urzeczywistnienia swoich planów i tylko wskutek własnych błędów, a także przeciwdziałaniu polityków środkowo-europejskich, w pierwszym rzędzie Dmowskiego, nie zdołali utrzymać po r. 1918 „Mitteleuropy". Otoczyli Polskę obręczą swoich protektoratów od wschodu: Litwą z Wilnem, Białorusią z Białymstokiem, Ukrainą z Chełmem i Hrubieszowem; zamierzali od zachodu obciąć Kongresówkę o pas od Częstochowy do Łomży; słowem realizowali Generalną Gubernię pod nazwą Królestwa Polskiego. W Rosji wojna przyśpieszyła rozkład; na jedną z dwóch przewidywanych możliwości, tj. na europeizację (na którą zresztą sam Dmowski, jak wynika choćby z opowiedzianej w „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa" rozmowy z Wittem a także z późniejszego memoriału dla Balfoura, nie bardzo liczył) nie starczyło czasu, nastąpiła ewentualność druga, bardziej prawdopodobna — rewolucja. Nawet gdyby cała Polska w r. 1917 była w ręku rosyjskim, powstałaby tak samo jako państwo niepodległe w r. 1918.

Dmowski chciał pójść z koalicją z udziałem Rosji nie dlatego, że to była Rosja, ale dlatego, że to było państwo, które mogło wygrać wojnę i zjednoczyć ziemie polskie, a musiało przegrać panowanie nad Polską.

ANALIZA ROSJI

Kto chce wyciągnąć jakąś naukę dla naszych czasów z planów Dmowskiego sprzed pierwszej wojny światowej, zacząć musi od analizy położenia wewnętrznego Rosji w „Niemcy, Rosya i kwestya polska".[2]

„...Musimy za punkt wyjścia wziąć — pisze Dmowski — jeden rys zasadniczy rozwoju historycznego państwa rosyjskiego. Mianowicie jest to rozwój idący na zewnątrz a nie na wewnątrz." „Cała praca wewnętrzna skierowana jest do udoskonalenia machiny państwowej, przystosowanej do zadań rozwoju zewnętrznego." Z tego zasadniczego kierunku rozwojowego rodzą się wielkie kwestie wewnętrzne, wśród których za naczelne uważa autor: „kwestię kresów", „kwestię włościańską" i „kwestię konstytucyjną".

„We wszystkich krajach europejskich warstwa drobnych rolników jest najzdrowszą warstwą społeczną, przez swój dobrobyt, na trwałych oparty podstawach, i przez swój konserwatyzm nadającą równowagę stosunkom społecznym i politycznym. W Rosji, skutkiem zaniedbania spraw wewnętrznego postępu, stan oświaty i kultury włościaństwa od wieków bardzo mało się posunął, a organizacja jego we wspólnocie (obszczynie) pozbawia je tych pobudek do pracy i postępu w gospodarstwie, tych podstaw samodzielności umysłowej i obywatelskiej, jakie daje własność indywidualna; natomiast czyni je dostępnym dla najbardziej utopijnych doktryn kolektywistycznych." „Kwestia tedy włościańska, kwestia ratowania wprost życia włościan, uzdrowienia ich bytu, uczynienia ich warstwą stanowiącą podstawę finansowej siły państwa i jego wewnętrznej równowagi politycznej — to kwestia zarazem dostarczenia tym milionom brakującej im ziemi, reorganizacji ich społecznego bytu, założenia im szkół, wreszcie zorganizowania przez rząd, czy samorząd środków popierania postępu kultury rolnej, rozwoju zdrowego kredytu itd." „Ani rząd obecny, ani żaden inny przy obecnym systemie państwowym na te środki zdobyć się nie może."

Kwestia kresowa jest w Rosji carskiej nie do rozwiązania. Rząd uznaje tylko jeden sposób — rusyfikację a, jak autor wykazuje przykładami i rozumowaniem, rusyfikacja jest chimerą. „Kwestia tedy kresowa to właściwie dziś jeszcze kwestia połowy ludności państwa, kwestia, która skutkiem kierunku rozwoju historycznego Rosji stała się nierozwiązana i tworzy położenie bez wyjścia. Tymczasem kwestia włościańska jest kwestią drugiej połowy ludności. Wytwarzający te dwie kwestie i zaostrzający je stopniowo kierunek rozwoju państwa musiał je prowadzić do katastrofy — bądź do upadku, bądź do wielkiego wewnętrznego przewrotu, wprowadzającego je na nowe drogi."

Kwestia konstytucyjna ma daleką przeszłość. „Jeżeli Iwan Groźny niszczył całe ustroje społeczne, jak Nowogrodu i Pskowa, przesiedlając masowo ludzi z jednej prowincji do drugiej, to państwo Piotra Wielkiego i jego następców, zorganizowawszy ścisłą kontrolę nad ludnością i wnikając we wszystkie dziedziny życia, nie dopuszczając systematycznie, ażeby jakaśkolwiek organizacja żyła i tworzyła się poza rządem, tępiąc wszelką skłonność do zorganizowanego życia zbiorowego, prowadziło niemniej skutecznie dzieło zniszczenia wszelkiej budowy społecznej, tym bardziej, że w razie potrzeby umiało uciekać się do niemniej radykalnych, jak Iwan Groźny, środków. W tym właśnie leży wyjątkowy charakter państwowości rosyjskiej, różniący ją od państw europejskich i azjatyckich jednocześnie, że kierownicy jego rozporządzali tymi środkami kontroli nad poddanymi, jakie istnieją w państwach europejskich, a nie mieli tego, co rządy europejskie, zmysłu konserwatywnego nakazującego szanować instytucje tradycyjne, pielęgnować te cenne fundamenty bytu społecznego, na których wytworzenie wieki się składają... Rząd rosyjski umiał być pierwszym rewolucjonistą, gdy mu to było potrzebne... Budzenie antagonizmów, sianie nieufności wzajemnej, wyzyskiwanie najciemniejszych instynktów w celu osiągnięcia tego, żeby poskłócone żywioły jedynie w rządzie mogły szukać oparcia — nie przestało być po dziś dzień praktyką władz rządowych... Rezultat tego systemu rządów... jest ten, że naród rosyjski o wiele mniej jest społeczeństwem niż inne w Europie narody... nie ma on wyraźnie zróżnicowanych warstw społecznych... nie ma tradycyjnie utrwalonych wzajemnych uzależnień społecznych. Jest tylko jedna zależność, zależność przymusowa — od rządu... odgrywa tu o wiele większą rolę psychologia tłumu, na której zmuszony jest opierać widoki swoje zarówno rząd, jak jego przeciwnicy. Idzie o to, żeby wywołać nastrój przeważający i skorzystać z niego dla powalenia przeciwnika, zanim nastrój minie."

„Ludność czuła, że jej obowiązkiem jest nie stosować się do prawa, ale do woli władz, że zamiast wykonywania prawa musi sobie zdobywać zaufanie władz, pozyskiwać je sobie, chociażby sposobami niezgodnymi z prawem." „Rząd rosyjski ...walczył bezwzględnie, usuwając swych przeciwników sposobami, głęboko wrażającymi się w świadomość. Sposoby takie pozostawiają w świadomości ślad dwojaki: budzą one z jednej strony strach, z drugiej — nienawiść. Skuteczność ich zależy od tego, które z tych dwóch uczuć przeważa. Iwan Groźny budził więcej strachu i dlatego umocnił na wiele pokoleń autokratyzm i podniósł urok władzy. Biurokracja nowoczesna budziła więcej nienawiści i dlatego władzę swą podkopała."

PRAWOSŁAWIE I KOMUNIZM

To ostatnie zdanie może posłużyć nam za zawias otwierający tak interesujące zagadnienie: Rosji dzisiejszej. Bolszewicy umieli strachowi przywrócić miejsce, jakie zajmował za Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego. O ile nie nastąpi katastrofa zewnętrzna, lub mało prawdopodobne załamanie „aparatu" od wewnątrz, autokratyzm na wiele pokoleń może utrzymać się w Sowietach. Charakterystyka państwa car-

2) **Podaję obszerne cytaty z książki, bo jest ona dzisiaj dla czytelnika polskiego prawie niedostępna. Z cytat tych, dodam nawiasem, można sobie urobić nieźle zdanie o rzekomym rusofilstwie Dmowskiego.**

skiego i jego stosunku do ludności pasuje zupełnie dobrze i do państwa bolszewickiego. W podstawach psychicznych czy zasadach wyróżniających cywilizacyjnie Rosję bolszewicy niewiele zmienili, zaakcentowali tylko pierwiastki azjatyckie, nieco stonowane za Romanowych. Zagadnienie rządu rozwiązali terrorem, ale sposób ten w Rosji może być trwalszy niż gdzie indziej.

Z dwóch wielkich zagadnień wewnętrznych roztrząsanych przez Dmowskiego, tj. zagadnienia narodowościowego i zagadnienia społecznego, jedno przypomina dziś problem z czasów carskich, drugie raczej nie.

Obszczyna została rozwinięta w kołchozy, głody periodyczne nie znikły, poziom gospodarczy i kulturalny wsi nie podniósł się wydatnie. Wprawdzie zagadnienie chłopskie przestało być jedynym wielkim zagadnieniem społecznym Rosji, bo rozrosła się bardzo warstwa robotników przemysłowych i powstała nowa warstwa — niewolników. Żadna z nich jednak nie spełnia roli stabilizacyjnej w społeczeństwie, a chłopi w dalszym ciągu stanowią większość ludności ZSSR. Bolszewizm, idący pod sztandarem rewolucji społecznej i socjalizmu, właśnie w kwestii społecznej okazał się najmniej twórczy, najbardziej nieporadny.

Trwałość zapewniło mu nie rozwiązanie kwestii społecznej i nie tylko rozwiązanie „kwestii konstytucyjnej" drogą terroru ale także znalezienie klucza do „kwestii kresów". Obok centralistycznego absolutyzmu, który został utrzymany, czynnikiem jednoczącym imperium carów było prawosławie. O jego załamaniu się pisze Dmowski obszernie. Ale nawet bez załamania prawosławie miało możliwości ograniczone. Nie było ono zdolne jednoczyć z Rosją ludów protestanckich, katolickich i muzułmańskich. Finlandia, Polska czy Azerbejdżan były trzymane tylko siłą wojskową. Jednoczącą funkcję prawosławia gra w państwie Sowietów komunizm i gra ją o wiele skuteczniej. Prawosławnych Finów czy Polaków do rządzenia Finlandią czy Polską było znaleźć niezmiernie trudno; komunistycznych Finów czy Polaków o wiele łatwiej. Przy tym komunizm nie doprowadza od razu do rozpaczy ludzi odbieraniem tego, co jest najbardziej ich własne, to znaczy języka i religii. Działa on o wiele ostrożniej i skuteczniej, działa metodą termitów. Pozostawia na zewnątrz fasady, toczy je od wewnątrz, powoli i nieubłaganie, aż wreszcie pozostaje tylko martwa zewnętrzna powłoka, którą można rozsypać jednym kopnięciem. Język staje się narzędziem do tłumaczenia myśli moskiewskich, religia ma się stać (wskazują na to próby z prawosławiem i protestantyzmem niemieckim) zbiorem rytów pozbawionych treści czy raczej nasiąkłych treścią materialistyczną. O ile zatem Rosja prawosławna i samodzierżawna nie mogła zniszczyć narodu polskiego, o tyle Sowiety mogą to zrobić, nie od razu oczywiście, lecz jeśli będą miały parę pokoleń czasu. Z ich światoburczej doktryny wynika, że będą starały się to zrobić.

RÓŻNICE

Stosując rozumowanie Dmowskiego z r. 1908 musi się dojść do wniosku, że w stosunku do Rosji Sowieckiej mamy tylko jedną drogę, to jest drogę walki.

Mogłaby się w tym miejscu rodzić pokusa intelektualna, czy w takim razie nie można w obecnej sytuacji odwrócić rozumowania Dmowskiego i, uznając Niemcy za wroga słabszego i prawdopodobnie niezdolnego do zniszczenia nas, szukać z nimi porozumienia. Byłaby to pokusa rozumowania co najmniej scholastycznego. Sytuacja historyczna jest zupełnie inna. Po pierwsze wojna jaka może wybuchnąć, nie będzie wojną niemiecko-rosyjską. Nie wiemy, po której stronie, a tym bardziej z jakim stopniem samodzielności mogą się w niej znaleźć Niemcy. Wiemy jednak na pewno, że nie będą one czynnikiem decydującym po stronie antyrosyjskiej, nie będą tym, czym była Rosja w koalicji antyniemieckiej 1914 r., będą najwyżej tym czym była Belgia lub Serbia. Niemcy nie są kontrpartnerem Rosji, nie są mocarstwem samodzielnym. Następnie (świadomie pomijam tu wszelkie czynniki emocjonalne) istota sporu polsko-niemieckiego nie przypomina niczym istoty sporu polsko-rosyjskiego z r. 1914. Tam Rosja byłaby w najgorszym razie rozszerzyła swoje panowanie na wszystkie ziemie polskie, po to by je tym pewniej utracić.

Tu początkiem porozumienia z Niemcami musiałoby być zrzeczenie się ziem polskich przez Polaków zasiedlonych i dla naszego bytu istotnych, a dalszym ciągiem nie wiadomo co. Niemcy nie są w tej chwili czynnikiem samodzielnym, ale nic nie wskazuje, że w wyniku zwycięstwa Zachodu, gdybyśmy im w tym pomagali zamiast przeszkadzać, nie mogłyby urzeczywistnić swego planu urządzenia środkowej Europy mniej więcej wedle wzoru dwukrotnie próbowanego: w latach 1928 i 1941.

Kontrpartnerem Rosji są obecnie nie Niemcy z Austrią, ale Stany Zjednoczone z Anglią.

Jeżeli, jak z tego cośmy powiedzieli wynika, niebezpieczeństwo niemieckie może pojawić się w przyszłości, to równie dobrze niebezpieczeństwo rosyjskie może zmaleć. Niebezpieczeństwo śmiertelne stanowi dla nas Rosja sowiecka. Rosja sowiecka jest silna na wewnątrz (a więc groźna dla nas) dzięki swej sile zewnętrznej. Ale:

„Rząd, który był dla ludności przedmiotem niemal religijnego strachu, uważany przez nią za siłę wyższą, której uderzenia i ucisk z fatalizmem się przyjmuje, gdyby nawet był od dawna nie miał rosnącego w państwie buntu, to z chwilą, gdy na zewnątrz poniósł klęskę w wojnie z wrogiem... już dawnego uroku nigdy nie odzyska. I prędzej czy później musi stanąć na jego miejscu coś innego". Budować jednak obecnie na przewidywaniu, co stanie i jaką będzie miało wobec nas politykę, byłoby równie ryzykowne, jak przewidywanie polityki Rosji porewolucyjnej w r. 1908, gdy nie wiadomo było ani kiedy przewrót nastąpi ani co się z niego wyłoni. Nikt nie mógł wówczas trafnie przewidzieć takich konsekwencji.

Toteż nie proroctwem kończy się „Niemcy, Rosya i kwestya polska", ale wezwaniem, niestety i dziś aktualnym: „Przed społeczeństwem polskim w Królestwie leżą dziś tylko dwie drogi — albo ulec biernie systemowi rządów, jego wpływom, rozkładającym organizm społeczny, obniżającym jego kulturę i przygotowującym ten kraj dla przyszłego podboju pruskiego, albo walczyć z nim, chociażby walka ta na długi zapowiadała się okres".

TADEUSZ BOROWICZ

ZAGADNIENIE PALESTYNY

WŚRÓD spraw wielkiej polityki są takie, które są sprawami zasadniczymi w rozgrywkach wielkich mocarstw, oraz takie, które na pozór są sprawami małej wagi i których ciężar gatunkowy jest niewielki. Palestyna nie jest zagadnieniem wielkim ani terytorialnie, ani ludnościowo, politycznie jest jednak problemem, który będąc sprawą małą może mimo to zadecydować o postanowieniach wielkich. Uwaga świata kieruje się na ten skrawek ziemi u wschodnich krańców Morza Śródziemnego nie dlatego, by sama Palestyna była sprawą o wielkich wymiarach. Dzieje się tak dlatego, że mała sprawa Palestyny ma znaczny wpływ na wielkie decyzje polityczne na obu półkulach. Dlatego warto przypatrzeć się bliżej kto, z kim i o co walczy dziś w Palestynie.

Zagadnienie posiada dwojaki aspekt i walka toczy się na dwóch płaszczyznach. Pierwszym, który najbardziej rzuca się w oczy i przeciętnemu obserwatorowi przysłania zazwyczaj całość zagadnienia jest polityczna strona problemu Palestyny. Drugim jednak, może niemniej ważnym i istotnym, choć mniej widocznym i mniej emocjonującym dziennikarzy, — jest problem religijny: Palestyna jest Ziemią Świętą i to zarówno dla chrześcijan, jak dla muzułmanów i żydów. Wojna w Palestynie jest nie tylko walką o polityczne panowanie w tym kraju, ale zarazem wojną religijną, niemal wojną świętą jeśli uwzględnimy fanatyzm, jaki ożywia w niej obie strony walczące. I ten drugi aspekt komplikuje w jeszcze większym stopniu i tak już niełatwe zagadnienie. Być może nawet, że polityczne rozwiązanie problemu jeszcze go nie wyczerpie w zupełności; po załatwieniu sprawy Palestyny pozostanie niezałatwiona sprawa Ziemi Świętej. A że przekonania religijne tkwią zazwyczaj w człowieku niemniej silnie niż poglądy

polityczne, — więc tę drugą stronę zagadnienia będzie może znacznie trudniej rozwiązać niż pierwszą.

Przez cały okres drugiej wojny światowej Palestyna była krajem pokoju. Jedynie w ciągu niewielu tygodni, gdy wojska niemieckie stały pod Aleksandrią w 1942 r. panowała tam atmosfera wojenna. Trzeba przypomnieć, że Arabowie palestyńscy, tradycyjnie sympatyzujący z Niemcami, nie taili wówczas swej radości i nadziei na wkroczenie Niemców do Palestyny i przez to wybitnie wpływali na nastroje paniczne wśród Żydów. Ale w kraju panował spokój mimo znacznej ilości uchodźców egipskich, którzy w obawie przed nadciągającymi Niemcami schronili się wówczas do Palestyny. Zarówno arabskich jak żydowskich mieszkańców kraju zajmowały w czasie wojny głównie handel i zarobki na wojskach, coraz to innej narodowości, które stacjonowały w tej brytyjskiej bazie u wrót do Morza Śródziemnego.

Ta oaza pokoju w czasie wojny stała się ogniskiem wojny w czasie pokoju. Było to zjawisko całkiem jasne, i dla Brytyjczyków, sprawujących jeszcze mandat w tym kraju, bynajmniej nie nieoczekiwane. Walka jawna lub ukryta pomiędzy Arabami i Żydami w Palestynie trwała od znanych zamieszek w 1933 r. Na czas wojny, z uwagi na wagę palestyńskiej bazy wojskowej udało się Anglii uzyskać w tej walce chwilowe zawieszenie broni. Było rzeczą oczywistą, iż po ustaniu działań wojennych w „wielkiej wojnie" wybuchnie ponownie z tym większą furią „mała wojna" palestyńska. By ta wojna nie wygasła i by Brytyjczykom nie brakło w Palestynie trudności, nad tym już w czasie „wielkiej wojny" czuwał nowy partner, który się pojawił na Bliskim Wschodzie — Rosja. Nowy partner okazał się bardzo sprytny: potrafił nawet przejściowo doprowadzić do rozdźwięków anglo-amerykańskich w sprawie palestyńskiej. Uzyskał zaś niewątpliwy sukces w postaci wycofania się Anglii ze sprawowania mandatu. Teren, do tej pory opanowany przez przeciwnika stał się ziemią niczyją. Na niej znacznie łatwiej penetrować niż na obszarach nieprzyjacielskich.

W chwili obecnej państwo żydowskie w Palestynie jest faktem, z którym nie można się nie liczyć. Istnieniu tego państwa przeciwstawia się w dalszym ciągu olbrzymi świat arabski od Maroka po Irak i od Kaukazu po Sudan. W tym morzu arabskim tkwi maleńka wysepka państwa żydowskiego, otoczona zewsząd wrogami, zdecydowanymi, mimo chwilowych klęsk, na dalszą walkę, by państwo to unicestwić. Zapewne przez długi jeszcze czas Palestyna będzie punktem, w którym wielkiej, ale pierwotnej i szczupłej w zasoby oraz niezorganizowanej sile liczebnej arabskiej przeciwstawiać się będzie maleńkie, ale bogate, zasobne gospodarczo, nowocześnie zorganizowane i dysponujące niemałymi wpływami politycznymi w wielu stolicach państwo żydowskie. Wynik tej walki nie da się dziś przewidzieć, oczywiście wynik ostateczny, bo chwilowo zwycięstwo jest po stronie żydowskiej. Utrwaleniu się państwa żydowskiego sprzyja jednak ogólna sytuacja międzynarodowa, która polityce żydowskiej daje obrzymie możliwości manewrowania i oddziaływania na decyzje wielkich mocarstw.

Ktokolwiek był w Jerozolimie, w Tel-Avivie, czy w Jaffie w dniu 1 grudnia 1947 r. i widział zachowanie się w tym dniu zarówno Arabów jak Żydów, dla tego jest jasne, że świat arabski nie pogodzi się z trwałym istnieniem państwa żydowskiego, a z drugiej strony, że Żydzi nie cofną się przed żadną walką ani ofiarą, by państwo to utrzymać. Tego dnia tłumy manifestowały na ulicach miast żydowskich, bo było to bezpośrednio po uchwale ONZ o podziale Palestyny. Tańczono w piżamach w śródmieściu Jerozolimy na ulicach, śpiewano i krzyczano, a samochody wyładowane młodzieżą żydowską, przystrojone w chorągiewki z gwiazdą Syjonu jeździły po miastach, manifestując żywiołową radość z decyzji o powstaniu państwa żydowskiego. Jakby dla ostrzeżenia jednak strona przeciwna tegoż dnia dała znać o swym istnieniu i swej dezaprobacie zapadłej decyzji: po południu padły pierwsze strzały arabskie do autobusów żydowskich, a w Starym Mieście Jerozolimy pierwsi Żydzi padli z rąk arabskich. Z tym dniem podziemna walka terrorystyczna organizacji żydowskich przeciw władzom mandatowym brytyjskim zamieniła się w otwartą wojnę arabsko-żydowską, nieukończoną do dziś i zapewne długo jeszcze trwać mającą. Trzeba było widzieć zarówno promieniejące radością w tym dniu twarze Żydów, jak ponurą determinację Arabów, by zrozumieć, że wojna ta będzie długa, zacięta i okrutna, tak jak ponure, zacięte i okrutne oraz uparte są narody Bliskiego Wschodu.

Wojna w Palestynie odznacza się okrucieństwem, o którym mało się mówi i pisze w świecie. Wynika ono zarówno z tego, że Arabowie, mimo cienkiej warstwy cywilizacji zaczerpniętej z Europy, pozostali w masach ludem dzikim o azjatyckich instynktach zemsty i okrucieństwa, — jak z tego, że Żydzi stosują w tej walce talmudyczną zasadę „oko za oko, ząb za ząb". Piszący te słowa słyszał w Palestynie w czasie toczącej się wojny opowiadanie Arabów o wypadku, który zdarzył się w pobliżu Hebronu. Do otoczonego przez obszary arabskie kibucu żydowskiego postanowiła dotrzeć karawana Żydów w przebraniach arabskich. Mówiący dobrze po arabsku, ubrani w arabskie stroje Żydzi dotarli już niemal do celu, gdy Arabowie, przeczuwający podstęp, otoczyli ich i otworzyli do nich ogień. Żydzi [illegible] się zacięcie, w końcu jednak ulegli i zaledwie kilku z nich dostało się do niewoli, a reszta poległa. Wśród jeńców żydowskich była pewna młoda kobieta, którą Arabowie pojmali już ranną. Mimo ran i niewoli jeniec ten począł chełpić się przed zwycięzcami, że własnoręcznie zabił w Jerozolimie kilku Arabów. Arabowie poćwiartowali żywcem jej ciało i rozrzucili po polu. Gdy autor tych słów zwrócił uwagę opowiadającym Arabom na nieludzkość takiego postępowania wobec jeńców, odpowiedziano mu, że był to tylko odwet za inny wypadek, w którym pod Mikor Haim w Jerozolimie kilku Żydów miało dopuścić się gwałtu na pojmanej Arabce, po czym również ją w okrutny sposób zamordować.

Zaciętość walk w Palestynie nie ustępuje zaciętości ciężkich bitew w drugiej wojnie światowej i trudno ją zrozumieć Europejczykowi, który zna tylko Żydów europejskich a nie zna wcale Arabów. Być może, że to napięcie walki wynika raczej z pobudek natury religijnej niż politycznej, czy rasowej. Żydzi europejscy po kilku latach pobytu w Palestynie stają się innymi ludźmi. Syjonizm potrafił wychować zwłaszcza młode pokolenie żydowskie w Palestynie w duchu odwagi, której zwykło się Żydom odmawiać, oraz w duchu poświęcenia i miłości dla żydowskiej siedziby narodowej. Pomijając moralną stronę zagadnienia, trzeba przyznać, że terroryści żydowscy prowadzili w Palestynie walkę doskonale, a podejmowane przez nich akcje bodaj nie ustępowały najlepszym przykładom z działalności podziemnej w Europie. Takim majstersztykiem Irgunu był zamach na siedzibę rządu palestyńskiego, hotel „King David" w Jerozolimie latem 1946 r., kiedy ofiarą wybuchu padło ponad sto osób, zarówno Anglików, jak i Arabów i Żydów. W przeważającej większości wypadków władzom palestyńskim nie udało się pochwycić nikogo z zamachowców.

Tej zaciętości żydowskiej przeciwstawia się głucha nienawiść Arabów, którzy nie mogą znieść rozrostu gospodarczego i politycznego żydowskiej siedziby narodowej i obawiają się poważnie, iż w razie utrwalenia się państwa żydowskiego zagrozi ono wkrótce ościennym państwom arabskim i objawiać zacznie dążenia do ekspansji kosztem ludów arabskich. We wrogiej postawie Arabów dużą rolę odgrywają momenty religijne i to zarówno wśród Arabów chrześcijan, jak wśród muzułmanów. Chrześcijanie arabscy wzorem wyznawców Koranu uważają Żydów za „niewiernych" i poczytują na ogół za zasługę wobec Boga mordowanie owych niewiernych. Chrześcijaństwo narodów arabskich posiada w ogóle specjalny charakter i zabarwione jest nawet w obrzędach i nabożeństwach atmosferą muzułmańską. Europejczyk chrześcijanin czuje się na katolickim nabożeństwie arabskim jakby na modłach w meczecie. Nie tylko same melodie, ale sposób intonowania najpierw pieśni przez jednego śpiewaka, a śpiewanie ich później chórem przez wszystkich wiernych przypomina obrzędy w meczecie. Nawet nieliczna warstwa inteligencji arabskiej chrześcijańskiej nie jest wolna od tego ogólnego stylu. Arabowie wykształceni na uniwersytatach europejskich i amerykańskich stają się po powrocie do ojczyzny dawnymi ludźmi, wzbogaconymi jedynie o zaczerpniętą wiedzę, z których jednak pokost kultury europejskiej spływa w dawnym środowisku bardzo szybko.

Jeśli tak się ma rzecz z Arabami chrześcijanami, o ileż bardziej dzicy i pierwotni w instynktach muszą być nie tylko beduini, ale i inteligencja muzułmańska. Tu już wojna przeciw Żydom nosi wyraźne piętno fanatyzmu religijnego. W pierwszych miesiącach walk w Palestynie, kiedy zapowiadano głośno inwazję państw arabskich na ten kraj bezpośrednio po wycofaniu się Brytyj-

czyków, i kiedy nie liczono się z tak zaciętym i skutecznym oporem Żydów, zachodziła poważna obawa, iż niekarne i źle zorganizowane masy fellachów ożywione wizją „świętej wojny" poczną w Palestynie mordować nie tylko Żydów, ale i chrześcijan wszystkich narodowości, nawet narodowości arabskiej, jako znienawidzonych „niewiernych". Wypadki potoczyły się inaczej i do zajęcia znacznych obszarów kraju przez Arabów spoza Palestyny nie doszło. Ale arabskie masy muzułmańskie do tej pory zapewne nie inaczej pojmują sprawę wojny toczącej się o Palestynę.

Powstające do życia państwo żydowskie jest jedynym chyba wypadkiem w historii, kiedy naród, państwo budujący posiada potężne wpływy polityczne w całym świecie. Zazwyczaj narody organizują się w państwa w sposób organiczny i dopiero po utrwaleniu organizacji państwowej poczynają zdobywać w świecie wpływy polityczne. Z państwem żydowskim ma się rzecz na odwrót. Jeszcze go nie było, a już Agencja Żydowska była faktycznym rządem nieistniejącego państwa, posiadała własną dyplomację i w sposób nieoficjalny prowadziła rokowania polityczne z wielkimi mocarstwami. Państwo żydowskie wyrosło nie z potrzeb zamieszkałego w Palestynie narodu żydowskiego, który do dziś stanowi zaledwie cząstkę żydostwa światowego. Wyrosło ono głównie z potrzeb diaspory, która bynajmniej likwidować się nie zamierzała, lecz pragnęła mieć oparcie we własnym, uznawanym i utrzymującym stosunki dyplomatyczne w świecie państwie.

Gdyby było inaczej, syjonizm nie byłby siłą o tak ograniczonych wpływach wśród ogółu żydostwa, jak to jest w rzeczywistości. Rzecz ciekawa, że Żydzi z diaspory zachodniej potrafią przeznaczać wielkie sumy na budowę państwa żydowskiego w Palestynie, niewielu z nich jednak spieszy się, by w państwie tym osiąść na stałe. Podczas gdy Żydzi palestyńscy myślą o swym państwie niewątpliwie poważnie i chcą w nim wytworzyć formę normalnego bytu i rozwoju narodowego, Żydzi z diaspory uważają to państwo raczej za dodatek do tego czym dysponują już obecnie w całym świecie. Do Palestyny spieszą ci, dla których warunki bytu w diasporze, głównie w Europie stały się nie do zniesienia, którzy uważają, że życie w Palestynie będzie obecnie lepsze od wegetacji w diasporze. Do Palestyny ciągnie ich przeważnie nie instynkt narodowo-państwowy, lecz perspektywa zamiany gorszych warunków na lepsze. Dopiero w Palestynie stają się oni żydowskimi patriotami.

Zawiłość problemu palestyńskiego i jego wpływ na zagadnienie wielkiej polityki polega na tym, że jest to problem, w którym obie strony są wygrywane przez wielkie mocarstwa dla ich celów. Na wypadek wojny nie może być rzeczą obojętną dla żadnej strony ani postawa świata arabskiego, ani zachowanie się Żydów w diasporze. Decyzja o podziale Palestyny, podjęta zgodnie zarówno przez Stany Zjednoczone, jak przez Rosję dała zarówno arabskiej, jak i żydowskiej stronie duże możliwości manewrowania politycznego, przy czym, mimo iż Rosja opowiedziała się za podziałem, świat arabski nastawił się emocjonalnie bardziej wrogo wobec Ameryki, niż wobec Rosji. Wpływy sowieckie w tworzącym się państwie żydowskim były od początku bardzo znaczne. Jest już dziś jasne, że Rosja dlatego poparła plan podziału kraju, ponieważ plan ten dawał jej pewność utrzymania tych obszarów w stanie ciągłego wrzenia, podczas gdy poprzednio były one terenem opanowanym przez politykę brytyjską. Dla Anglosasów problem jest o tyle trudny, że wyraźne opowiedzenie się po jakiejkolwiek stronie stwarza automatycznie ze strony przeciwnej potencjalnego wroga na wypadek światowego konfliktu zbrojnego, a zarówno wrogi świat arabski, jak wroga postawa żydostwa światowego nie są rzeczą bez znaczenia, gdy się myśli o przyszłej wojnie.

Wojna palestyńska nie zjednoczyła jednak wewnętrznie ani Żydów, ani Arabów. Żydowskie organizacje terrorystyczne, opanowane częściowo przez komunizm pozostają w dalszym ciągu w ostrej opozycji wobec rządu Izraela. Rosja będzie się starać ten stan rozdarcia wewnętrznego wśród Żydów podtrzymywać w dalszym ciągu, dbając zarazem, by świat arabski nie zjednoczył się w walce przeciw państwu Izraela. W tych warunkach konflikt palestyński trwać może jeszcze bardzo długo i trudno dziś przewidzieć jakikolwiek jego ostateczny wynik. Na wypadek zaś konfliktu światowego również dziś nie wiadomo, czyimi sojusznikami będą Żydzi, a czyimi Arabowie. Sowiety pozornie są dziś po stronie żydowskiej, nie wiadomo jednak czy — jak się to sowieckiej dyplomacji często zdarza — nie odwrócą swego punktu widzenia o 180 stopni i któregoś dnia nie znajdą się po stronie arabskiej. Dlatego zagadnienie Palestyny wymaga od Stanów Zjednoczonych i Brytanii nie tylko całkowitej zgodności poglądów w tej sprawie, ale i wielkiej mądrości dyplomatycznej.

Na ziemiach Samarii, Judei i Galilei, w Jerozolimie, Betlejem i Nazarecie toczy się wojna dwóch narodów o panowanie polityczne i religijne na Ziemi Świętej. Ale wynik wojny decyduje się w Londynie i Waszyngtonie, a w największej może mierze w Moskwie. I pokój na Ziemi Świętej może zapanować dopiero wtedy, gdy nastąpi on w całym świecie, wolnym od totalistycznej dyktatury, kierowanej z Moskwy.

W. ŁĘGOWSKI

DOKTRYNY A RZECZYWISTOŚĆ 3)

ZAPOMNIANE PRAWDY

W PIERWSZEJ części niniejszego artykułu umieszczonej w numerze listopadowym „Myśli Polskiej" omówiliśmy cechy charakteryzujące brytyjski kryzys gospodarczy, tak pełen kontrastów i paradoksów. Druga część (w numerze grudniowym) poświęcona była błędom wynikającym z zastosowania doktryn socjalistycznych na odcinku robotniczym, głównie w zakresie polityki płac, rozdziału pracowników między poszczególne rodzaje przemysłu i braku dyscypliny pracy; podkreśliliśmy także egoistyczne stanowisko związków zawodowych i niechęć do wysiłku wykazywaną przez znaczne odłamy robotników.

Nie możemy nie wspomnieć jednak o stanowisku przedsiębiorców i tzw. świata interesu. Daleki od prawdy byłby ten, który by niechęć do intensywności pracy widział tylko po stronie angielskich robotników. Publicystyka ekonomiczna tego kraju pełna jest również narzekań na zanik przedsiębiorczości i rzutkości wśród kierowników życia gospodarczego. Na każdym kroku uderza zwolnienie tempa i brak inicjatywy, niechęć do jakiegokolwiek ryzyka i dążność do wygody i spokoju. Atakowane w ten sposób sfery bronią się głównie wskazywaniem na trudności stwarzane przez obecny system polityczno-gospodarczy, a zwłaszcza labirynt przepisów, koncesji i licencji, wśród których trudno wprost się poruszać. Obiektywnie przyznać trzeba, że biurokracja swym powolnym urzędowaniem nieraz zniechęca do wszelkiej inicjatywy i powoduje marnowanie wielu pożytecznych pomysłów i sprzyjających okoliczności. Podobnie zresztą system podatkowy oparty na skrajnej progresji nie daje podniety do wygospodarowywania większych zysków, które są praktycznie biorąc konfiskowane. W tym samym kierunku działają przepisy ograniczające zyski spółek.

Przechodząc do polityki inwestycyjnej i konsumpcyjnej rządów socjalistycznych trzeba stwierdzić, że została ona podporządkowana ambitnemu planowi niezmiernie szerokich reform społecznych. Należy tu wymienić polepszenie jakości odżywiania szerokich warstw, a przede wszystkim dzieci, budownictwo tanich domów robotniczych, wprowadzenie powszechnego bezpłatnego leczenia, rozszerzenie innych ubezpieczeń społecznych, rozbudowę bezpłatnego szkolnictwa połączoną z podniesieniem przymusowego wieku szkolnego, a ostatnio nawet wprowadzenie darmowej pomocy prawnej. Wszystkie te posunięcia są niewątpliwie pożądane z punktu widzenia społecznego. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że realizację ich rozpoczęto w momencie, gdy trzeba było leczyć rany zadane życiu gospodarczemu przez wojnę i gdy ogólne zubożenie kraju wyszło jaskrawo na jaw. Co gorsza, — jak to wspominaliśmy w drugiej części niniejszego artykułu — usiłuje się przeprowadzić te wszystkie plany przy jednoczesnym

zmniejszeniu wydajności i czasu pracy. Czy można się wobec tego dziwić, że ekonomiści obawiają się, iż takiego napięcia życie gospodarcze kraju nie wytrzyma i że prędzej czy później grozi to załamaniem się i przykrym przebudzeniem z nierealnych snów?

Jest rzeczą niezmiernie trudną obliczyć ogólny poziom konsumpcji, gdyż składa się ona z tak różnorodnych pozycji, jak żywność, odzież, tytoń, opał, meble i urządzenia domowe, przejazdy kolejowe, sport, rozrywki wszelkiego typu i wiele innych. Szacuje się jednak, że przeciętne spożycie (tj. na głowę ludności) wszystkich tych towarów i usług łącznie osiągnęło normy przedwojenne już w 1946 r. a przekroczyło je dość znacznie od tego czasu. Jeśli mówimy jednak o przeciętnym wzroście konsumpcji, to nie oznacza to bynajmniej, że każda jednostka konsumuje więcej wszystkiego. Wiadomo np., że nie doszło jeszcze do norm przedwojennych spożycie takich artykułów jak mięsa, bekonu, tłuszczów czy cukru, wzrosło natomiast znacznie spożycie chleba, kartofli, jarzyn, mleka i sera. To ostatnie będzie niewątpliwie niespodzianką dla wielu czytelników, którzy z melancholią spoglądają na swoje mikroskopijne racje sera starannie dla nich odważane w sklepach na czułych wagach. Tak samo zdziwiłby się każdy, kto by usłyszał, że pełna przedwojenna konsumpcja mięsa oznacza według obecnych cen przeciętną zaledwie 1 s. 4 d tygodniowo na głowę ludności, czyli niewiele więcej od obecnej racji. Dwa te przykłady wskazują na wielką rewolucję spożycia, jaka zaszła w Anglii w stosunku do przedwojny. Dzięki racjonowaniu i utrzymywaniu cen podstawowych artykułów żywnościowych na niskim poziomie spożycie wielu z nich w szerokich warstwach raczej wzrosło, podczas gdy warstwy średnie i zamożniejsze spożywają ich obecnie mniej. Mleka np. nie można dostać w nieograniczonych ilościach, za to w szkołach piją je bezpłatnie dzieci, którym przed wojną rodzice nie byli w stanie go kupić.

Niskie ceny artykułów żywnościowych spowodowane są systemem subwencji wypłacanych producentom względnie sprzedawcom; bez nich ceny np. chleba, tłuszczów, sera czy cukru byłyby o 50-100% wyższe. Subwencje te kosztują obecnie rocznie prawie pół miliarda funtów, co stanowi poważną część budżetu państwowego i jest jedną z przyczyn wysokiej stawki podatku dochodowego (obliczono, że zniesienie ich umożliwiłoby obniżenie tego podatku o 3 s. 3 d na 1 funcie dochodu). Część ekonomicznej prasy angielskiej uważa, że dopłacanie tak olbrzymich sum z kieszeni podatników nie ma uzasadnienia, gdyż płace robotnicze są dzisiaj tak wysokie, że nawet zupełne zniesienie subwencji nie spowodowałoby istotnego zmniejszenia konsumpcji artykułów podstawowych, że jednym słowem subwencje są wyrazem doktryny a nie potrzeby życia. Zwraca się też uwagę na to, że niskie ceny żywności skierowują konsumpcję mas w innym kierunku, wcale nie najbardziej pożądanym, a mianowicie do tytoniu, alkoholu i wszelkiego rodzaju rozrywek. W systemie subwencji tkwi zatem jedna z przyczyn braku papierosów, gdyż nadmiar pieniądza szuka ujścia między innymi we wzroście palenia o 1/3 w stosunku do przedwojny.

Zasadnicza chęć zwiększenia stopy życiowej mimo kryzysu leży u podstawy ostatnich żądań wielu posłów Labour Party obniżenia cen, co w skutkach swych równałoby się przecież podwyżce płac. Nawet w tzw. planie czteroletnim, który W. Brytania przedłożyła administracji planu Marshalla, znalazła wyraz nadzieja podniesienia konsumpcji w latach 1952-53 (a więc po jego zakończeniu) o 15-20% w stosunku do obecnego poziomu, nadzieja, która zresztą nie ma żadnego uzasadnienia w innych częściach planu.

W zakresie ubezpieczeń społecznych wprowadzono w lipcu ub. r. tzw. National Health Service czyli bezpłatne leczenie całej ludności. Ogólny koszt tego planu obliczono na 210 milionów funtów rocznie, praktyka zaś dotychczasowa wykazała, że suma ta zostanie znacznie przekroczona, tak np. koszt leczenia dentystycznego kształtuje się ok. 40 miln £ zamiast przewidywanych 9½ miln koszt służby optycznej zaś 10 miln zamiast 2½ miln. Jednocześnie rozszerzono ubezpieczenie na starość i podwyższono stawki płacone przez tzw. Assistance Board wszystkim osobom nie mogącym pracować. Oznacza to, że dziś każdy mieszkaniec W. Brytanii ma zapewnione przez państwo minimum egzystencji otrzymując 24 s. tygodniowo (małżeństwa 40 s.), do czego dochodzi zwrot rzeczywistego komornego.

W 1944 r. parlament uchwalił nową ustawę o nauczaniu, która podniosła przymusowy wiek szkolny do lat 15 i zobowiązała samorządy do wprowadzenia bezpłatnego nauczania nie tylko na poziomie elementarnym, lecz i w szkołach średnich. Każde dziecko w W. Brytanii ma ukończyć tzw. Secondary School, to znaczy uzyskać naszą „małą maturę". Oznaczać to będzie powiększenie ilości uczniów w gimnazjach z obecnego pół miliona do prawie trzech milionów i konieczność przeprowadzenia ogromnego planu budowy szkół, a także planu szkolenia wielu dziesiątków tysięcy nowych nauczycieli. Na rok bieżący na budowę nowych szkół ma się wydać 50 do 55 miln £. Nie wolno też zapominać o tym, że podwyższenie przymusowego wieku szkolnego pozbawia rynek pracy paruset tysięcy rąk roboczych powodując opóźnienie rozpoczęcia pracy zarobkowej o 1 rok. Przy obecnym braku rąk roboczych ta strona zagadnienia jest wyjątkowo poważna.

Dotychczas mówiliśmy o różnych działach konsumpcji doraźnej, a więc konsumpcji wszelkiego rodzaju dóbr spożycia oraz usług szeroko pojętych. Obok tego istnieje jeszcze inny rodzaj konsumpcji tzw. trwałej, tzn. zaspakajanie potrzeb mieszkaniowych. Również i ten rodzaj spożycia cieszy się poparciem oficjalnym. Od zakończenia wojny do 30.11. 1948 r. zbudowano ogółem 527 tys. nowych domów i odbudowano 32 tys. domów zniszczonych, ponadto dostarczono blisko 300 tys. mieszkań za pomocą naprawy uszkodzeń lub przebudowy dużych domów. Oblicza się, że łącznie ok. 2½ miliona osób uzyskało własne domy lub mieszkania i że pierwszy powojenny głód w tym zakresie został zaspokojony. Jest to niewątpliwie wspaniałe osiągnięcie, choć zobaczymy jak kosztowne dla społeczeństwa jako całości. Ogromna większość domów i bloków budowana jest przez samorządy i wynajmowana następnie za niskim komornym nieprzekraczającym 11 s. 6 d. tygodniowo za pięciopokojowy dom z ogrodem. Ponieważ zaś obsługa kapitału i koszty utrzymania domów kosztują przeszło dwa razy więcej, reszta dopłacana jest ze specjalnych subsydiów państwowych i z budżetów samorządowych, czyli w obu wypadkach z podatków. Nic dziwnego, że w tych warunkach obok bardzo wysokiego państwowego podatku dochodowego coraz uciążliwszy się staje stały wzrost podatków samorządowych pobieranych w postaci tzw. General Rates od właścicieli nieruchomości — w ten sposób właściciele starych domów subwencjonują lokatorów w nowych domach. Domy te przeznaczone są niemal wyłącznie dla warstwy robotniczej, gdyż warunkiem wynajęcia jest wykazanie się dochodem nieprzekraczającym pewnego dość skromnego maksimum.

O ile szeroka akcja budowlana po wojnie była potrzebna, to można kwestionować, czy zubożałą Anglię stać na budowę tak stosunkowo dużych i luksusowych domów robotniczych. Można je tak nazwać, gdyż zasadniczo są one pięciopokojowe (mimo iż więcej niż połowa rodzin składa się obecnie z 3 osób lub mniej), posiadają łazienkę i 2 ustępy i są całkowicie zelektryfikowane łącznie z elektryczną lodówką (w okresie notorycznego braku prądu elektrycznego). Oficjalna akcja budowlana samorządów wyczerpuje prawie w zupełności możliwości przemysłu budowlanego i dlatego licencji na budowę własnych domów nie wydaje się prawie zupełnie. Doktryna socjalistyczna nie popiera prywatnej własności nawet małych domków.

Z punktu widzenia czysto ekonomicznego powojenne budownictwo domów mieszkalnych ma dwie wady: odciąga ono ogromną liczbę robotników od gałęzi przemysłu, które w obecnych warunkach są bardziej ważne (wytwórczość dóbr na eksport), a ponadto ogranicza możność inwestycji przemysłowych. Na jesieni roku ubiegłego 480 tys. robotników pracowało w budownictwie mieszkaniowym, a tylko połowa tej ilości przy budowie nowych zakładów przemysłowych lub przy inwestycjach na wsi. Podobnie wygląda sprawa zaangażowanego kapitału. W ciągu 1947 r. udzielono licencji na budowle mieszkaniowe na ogółem 314 miln £ wobec 164 miln £ dla budynków fabrycznych i handlowych, a zaledwie 10 miln £ dla budynków rolniczych. Gdy zaś w połowie roku ubiegłego rząd w obawie o inflację zaczął stosować restrykcje inwestycyjne, dotknęły one w pierwszym rzędzie budowy szeregu nowych zakładów fabrycznych. Można by powiedzieć, że dla wygody obecnego pokolenia poświęca się rozszerzanie podstawy produkcyjnej, tj. fundamentu, który by dopomógł najpierw do rychłego przezwyciężenia kryzysu powojennego, a potem umożliwił wprowadzenie wszelkiego rodzaju ułatwień w pracy i zwiększe-

nie konsumpcji bez obawy wstrząsów i załamań.

Łączny koszt wszelkiego rodzaju świadczeń społecznych, który wynosił w 1938 r. 460 miln £, wzrósł wskutek opisanych posunięć do blisko 1.600 miln £ i ma tendencję szybkiego dalszego wzrastania. Aby znaleźć pokrycie tych olbrzymich sum, trzeba było utrzymać prawie w całości wojenny system podatkowy, który zabiera obecnie 2/5 sumy dochodów wszystkich obywateli! Dla podkreślenia ciężaru tego opodatkowania przytoczymy, że znany ekonomista angielski i badacz problemu dochodu narodowego Collin Clark określił maksimum obciążenia podatkowego przy racjonalnej gospodarce na 25%. Wiadomo, że stawki podatkowe są obecnie tak wyśrubowane i progresja podatku dochodowego jest tak wielka, że zniechęca zarówno robotników jak i przedsiębiorców do dodatkowego wysiłku, którego rezultaty zabrałby prawie w całości poborca podatkowy.

Dla uniknięcia nieporozumień pragnęlibyśmy w tym miejscu podkreślić, że nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami reform społecznych. Odwrotnie, uważamy, że większość wprowadzonych w W. Brytanii ustaw socjalnych jest pożądana. Chodzi tylko o to, że moment ich zastosowania i zbyt szeroki zakres nie są odpowiednie, że ogólne położenie i klimat gospodarczy są niesprzyjające, że wreszcie opieranie ich wyłącznie prawie na poświęceniach ze strony warstw nierobotniczych, bez wykazania ze strony samych robotników jakiejkolwiek chęci do wydajniejszej pracy, nie tylko nie jest sprawiedliwe, ale jest również ekonomicznie błędne.

Przechodzimy do konkluzji, które można wyciągnąć z obserwacji praktycznego zastosowania doktryn socjalistycznych. Są one bardzo różnorodnej natury, dotyczą zarówno zasad ekonomicznych, jak i dziedziny polityczno-społecznej, wkraczają w problemy psychologiczne, odnoszą się wreszcie również do niektórych zagadnień moralnych.

Zacznijmy od spraw czysto gospodarczych. Socjaliści zwykli są podkreślać konieczność sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego. Prawdą jednak jest oczywistą, że przede wszystkim trzeba wyprodukować te dobra, które ma się zamiar dzielić, że zatem wszelkie posunięcia, które przeszkadzają procesowi produkcji, w rezultacie muszą odbić się niekorzystnie na rozdziale. Najbardziej sprawiedliwy podział małej ilości dóbr nie stworzy wysokiej stopy życiowej szerokich warstw, podczas gdy wielka produkcja np. w Stanach Zjednoczonych doprowadziła do powszechnego dobrobytu nawet bez specjalnego ustawodawstwa społecznego. Naiwne okazało się również złudzenie, że podnoszenie zarobków robotniczych może odbywać się kosztem zysków przedsiębiorców; jeśli podstawą podwyżek nie jest bądź zwiększony wysiłek fizyczny robotników, bądź usprawnienie metod produkcji, wtedy wszelka podwyżka jest pozorna, bo prowadzi do powszechnego wzrostu cen, czyli zjada sama siebie. Z drugiej strony nieznaczne nawet podwyższenie konsumpcji szerokich warstw powoduje ogromny jej wzrost w cyfrach bezwzględnych i wywołuje daleko idące i często nieprzewidziane reperkusje w wielu dziedzinach gospodarczych.

Hasło pełnego zatrudnienia, tak pożądane politycznie, zawiera wiele niebezpieczeństw ekonomicznych, gdyż świadomość robotnika, że zawsze znajdzie pracę, zmniejsza chęć do wyróżniania się w pracy i prowadzi poprzez stały brak rąk roboczych do ciągłej zwyżki płac. Może ono okazać się obosieczne w praktyce i wymaga niezmiernie umiejętnej polityki ze strony rządu i powściągliwości ze strony mas pracujących. Drugie z popularnych haseł współczesnych, tzw. planowanie gospodarcze, nie jest możliwe bez planowej polityki płac, która jest politycznie trudna do zrealizowania, bo natrafia na opór związków zawodowych. Planowanie wymaga również ruchliwości elementu pracy, a doświadczenie wykazuje, że robotnik coraz bardziej oczekuje, iż dostarczy mu się pracy raczej na miejscu. i nie chce być zmuszany do szukania jej poza miejscem swego zamieszkania.

Wreszcie widzimy, że programy gospodarcze muszą być elastyczne, ponieważ pewne zasady polityki ekonomicznej dobre i celowe w jednym okresie mogą okazać się szkodliwe w innym. Żądanie szerokich reform społecznych, podkreślanie momentów bezpieczeństwa społecznego i generalne dążenie do rozszerzenia konsumpcji a niedocenianie potrzeb produkcji w okresie niesprzyjającego klimatu gospodarczego jest takim samym błędem jak była nim polityka deflacji, obcięć budżetowych i zaniedbania zagadnień społecznych w latach trzydziestych, okresie chronicznej nadprodukcji. Dobrze by było, by o prawdzie tej pamiętali wszyscy ci, którzy oczekują od ruchu narodowego szczegółowo sprecyzowanego i niezmiennego programu gospodarczego.

W zakresie polityczno-społecznym niebezpieczeństwo oddania pełni władzy jednej warstwie społecznej stało się oczywiste. Wpływ związków zawodowych na rząd wykorzystywany jest jednostronnie i przeszkadza w prowadzeniu prawdziwej i realnej polityki gospodarczej. Z ambicjami do rządzenia państwem nie idzie, niestety, w parze wzrost poczucia odpowiedzialności za jego losy i zrozumienie konieczności poświęceń na rzecz wspólnego dobra. Jeśli nawet góra centrali związków zawodowych rzeczy te lepiej rozumie, to im niżej w drabinie hierarchii robotniczej się schodzi, tym bardziej zakorzenione przesądy i bezmyślna demagogia zaciemniają horyzonty. Złudzeniem okazało się, że upaństwowienie jakiejś gałęzi produkcji poprawi stosunek robotnika do „uspołecznionego" pracodawcy. Atmosfera w znacjonalizowanych kopalniach węgla nie różni się wiele od okresu, gdy były one prywatną własnością — takie same są narzekania na niesprawiedliwe wymagania przełożonych, tak samo częste są dzikie strajki o byle co, taka sama solidarna obrona leniwego i niedbałego towarzysza pracy. Nim warstwa robotnicza dojrzeje do kierowania gospodarstwem, nawet w postępowej Anglii konieczne będą długie lata pracy wychowawczej budzącej poczucie odpowiedzialności i odrabiającej wiekową demagogię.

Natura ludzka zmienia się bardzo powoli. Żeby dobrze pracować człowiek, niestety, ciągle jeszcze potrzebuje pewnych bodźców, zarówno w postaci nagrody za wysiłek, jak i kary za zaniedbanie się. Usunięcie z życia gospodarczego tych bodźców okazuje się fatalne. Widzimy także całe niebezpieczeństwo stosowania doktryny równości płacy prowadzącej do coraz dalszego zanikania różnic w zarobkach robotnika wykwalifikowanego i niewykwalifikowanego oraz systemu płac zbiorowych, w którym robotnik leniwy i ociągający się otrzymuje to samo co pilny i pracowity.

Dochodzimy tu do strony moralnej zagadnienia. Ogólna atmosfera współczesnego życia przyczynia się do tego, że ludzie oczekują, iż otrzymają coś za nic; nie tylko jest to niemożliwe, ale byłoby nawet szkodliwe. Zapewnienie stałego zatrudnienia wymaga dodatkowego wysiłku w pracy; daleko idące reformy społeczne nie mogą być w całości przerzucone na barki nielicznych warstw zamożniejszych i muszą być oparte również na własnych poświęceniach; krótsza czy gorsza praca musi powodować obniżenie zarobku; dobrodziejstwa zbiorowej umowy o pracę muszą być połączone z uszanowaniem ich warunków i dotrzymaniem danego słowa, nawet jeśli niektóre ich przepisy są dla robotników nieprzyjemne. Cała współczesna atmosfera łatwizny życiowej i używania jest szkodliwa również gospodarczo. Stosunek człowieka do pracy jako do zła, nawet nie zawsze koniecznego, jest błędny; jak piękne było w porównaniu z tym ustosunkowanie się do pracy średniowiecznego rzemieślnika, który widział w niej nie tylko obowiązek, ale i środek do duchowego doskonalenia się i był prawdziwie dumny, gdy rezultat pracy był dziełem solidnym i starannie wykonanym. Ponadto hasła walki klas okazały się zupełnie nietwórcze, klimat wywołany przez nie jest niezdrowy i zniechęca nie tylko ofiary walki, tj. klasy posiadające, ale nawet podmiot jej, tj. warstwę robotniczą, rozczarowaną brakiem szybkich rezultatów. Wydaje się nam, że ideologia narodowa i na tym polu ma wiele do powiedzenia. Budzenie poczucia współodpowiedzialności każdej jednostki za losy całego narodu podnosi moralnie człowieka i wydobywa na jaw lepsze strony jego natury.

POLITYKA UKRAIŃSKA BECKA*)

PRZED rokiem mniej więcej ukazały się w języku włoskim pamiętniki b. rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Comnene'a, które chociaż poziomem swoim nie dorównują dawniejszej książce Gafencu (*Les preliminaires de la guerre dans l'Est*), zawierają sporo materiału informacyjnego z okresu bezpośrednio poprzedzającego konflikt 1939 r. Comnene był ministrem spraw zagranicznych Rumunii w czasie kryzysu monachijskiego, kiedy przynajmniej platonicznie dał się poznać jako

*) **G. Comnene: Preludi del Grande Dramma. Ricordi di un diplomatico. Roma, 1947.**

zwolennik tradycyjnej polityki rumuńskiej, sojuszu z Czechosłowacją. Na tym tle Comnene nie szczędzi w swojej książce uszczypliwych uwag ówczesnej polityce polskiej, a specjalnie jej kierownikowi, Beckowi.

Na temat samego kryzysu czechosłowackiego nie znajdujemy u Comnene'a żadnych szczególnie nas interesujących informacji. Za to odsłania on kulisy jednego z późniejszych nieco wydarzeń, również związanego z problemem Czechosłowacji, mianowicie spotkania ministra Becka z królem Karolem w Gałaczu, w drugiej połowie października 1938 r.

Celem tej wizyty Becka było pozyskanie polityki rumuńskiej na rzecz idei wspólnej granicy polsko-węgierskiej poprzez Ruś Podkarpacką, która w myśl życzeń polskich miałaby przypaść Węgrom. Rozpadająca się Czechosłowacja nie była już w stanie utrzymać tej prowincji w dotychczasowej bezpośredniej zależności od Pragi i chciała ratować tam swoje wpływy na zasadach luźnej tylko łączności, ogłaszając Ruś autonomicznym krajem, z własnym rządem, pod nazwą „Ukrainy Podkarpackiej".

Uzgodnienie w tej sprawie polityki polskiej z polityką rumuńską oraz zapośredniczenie przez Polskę porozumienia między Rumunią a Węgrami, uznał rząd polski za zadanie pierwszorzędnego znaczenia — i w tym celu udał się do Rumunii na spotkanie króla Karola minister Beck.

Spotkanie to nastąpiło dn. 19 października 1938 r. w Gałaczu. Było to zatem już po konferencji monachijskiej i po przyłączeniu do Polski Zaolzia, kiedy Czechosłowacja po ustąpieniu Benesza (5 października) znajdowała się już w stanie faktycznej dekompozycji.

Minister Beck sam reprezentował stronę polską w rozmowach z królem Karolem, których trzecim świadkiem był właśnie Comnene. Nie została nigdy opublikowana żadna relacja tych rozmów pochodząca od ministra Becka, natomiast podaje ją Comnene w swoich pamiętnikach. Relacja jest zapewne tendencyjna, gdyż ukazała się w czasie, kiedy krytyka polityki przedwojennej Polski oraz jej ministra spraw zagranicznych stała się regułą; poza tym démarche Becka spotkało się z odmową Rumunii, która wolała własną wspólną granicę z Czechosłowacją od wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Tym niemniej jednostronna wersja rumuńska rzuca wiele światła na całą sprawę, chociaż wymagałaby odpowiednich wyjaśnień ze strony polskiej.

Spotkanie miało miejsce na pokładzie jachtu królewskiego na Dunaju. Według opowiadania Comnene'a król witając Becka miał „twarz surową", bez uśmiechu i od razu postawił pytanie: „E h b i e n ! m o n s i e u r l e m i n i s t r e , q u ' e s t q u e v o u s n o u s a p p o r t e z".

Na pytanie to Beck odpowiedział dłuższym wywodem, przedstawiając cel swej **wizyty**:

„Zaczyna od mówienia o trudnym **problemie ukraińskim** w Polsce. Utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego, chociażby najmniejszego, u granic Polski, stanowiłoby duże niebezpieczeństwo dla jego kraju. W ostatnich czasach zostało stwierdzone, że akcja wywrotowa ukraińska kierowana była przez agitatorów znajdujących się właśnie na terenie Rusi Podkarpackiej. Ta prowincja jako autonomiczna na wewnątrz Czechosłowacji, nie może być trwała. Po „przewidywanym" przyłączeniu jej najbogatszych części do Węgier, utraci ona tych kilka rzadkich miast, jakie posiada oraz swoje linie komunikacyjne".

W dalszym ciągu Beck zwracał uwagę na **warunki lokalne Rusi**, która jest „krajem niczyim w stanie zupełnej anarchii", doradzając bądź jej podział między Węgry oraz Rumunię, bądź zgodę na zajęcie całego kraju przez Węgry.

„Zaspokojone w tym rejonie, Węgry na długi czas odłożą swoje aspiracje w stosunku do innych granic. Operacja ta stworzyłaby poważne odprężenie w basenie naddunajskim, pozwalając na współpracę pomiędzy narodami oraz stwarzając jak najkorzystniejszą gwarancję dla pokoju w Europie."

Zabiera głos król — na krótko, wspominając o swoich, jak dotąd bezskutecznych próbach porozumienia z Węgrami, po czym poleca swojemu ministrowi wyłożyć **rumuński punkt widzenia** w sprawach poruszonych przez Becka.

Comnene streszcza to stanowisko w pięciu punktach.

Najpierw mówi o samej sprawie Rusi Podkarpackiej. Na obszarze tym mieszka „kilka dziesiątków tysięcy" Rumunów, którzy są jednak całkowicie zadowoleni ze swojej egzystencji pod rządami czechosłowackimi, czując się lepiej, niż Rumuni, znajdujący się na Węgrzech, a nie pragnąc zamienić rządów czechosłowackich na węgierskie.

Punkt drugi: Rumunia uważa za sprawę swoich żywotnych interesów **utrzymanie wspólnej granicy z Czechosłowacją**, tak ze względów gospodarczych, jak politycznych. „Brak wspólnej granicy z Rumunią zdałby (Czechosłowację) na łaskę bądź Niemiec, bądź Węgier, lub obu, co nie jest pożądane".

Punkt trzeci: „Wspólna granica jest niezbędna dla Rumunii także celem zapewnienia sobie najkrótszej drogi, i z pominięciem terytorium węgierskiego, do krajów północnych".

Punkt czwarty: Rumunia posiada 400 km wspólnej granicy z Węgrami, którą z wielkimi trudami zaopatrzyła w linię obronną. „Aneksja Rusi przez Węgry oznaczałaby obejście tej linii... i co więcej przedłużyłaby tę granicę, dostatecznie długą, o jakieś 200 km."

Punkt piąty: „Rumunia jest gotowa każdej chwili porozumieć się z Węgrami, lecz niefortunne doświadczenie, pochodzące nawet z ostatnich czasów, nie zachęca do dalszych ofiar"...

Na to zabiera ponownie głos Beck oświadczając, że Węgry byłyby gotowe „zbliżyć się do swoich wschodnich sąsiadów" — i że **on sam mógłby się przyczynić, aby to odprężenie zostało osiągnięte.**

Król Karol przyjmuje „pomimo całego sceptycyzmu" propozycję **dobrych usług** ze strony polskiej. „O ile chodzi o wspólną granicę rumuńsko-czechosłowacką, monarcha podkreśla z mocą, że jest ona niezbędna celem zapewnienia egzystencji, a zwłaszcza niepodległości tego kraju (Czechosłowacji)"...

Minister Beck „nie odpowiadając na żaden z argumentów, przytoczonych przez króla Karola lub jego ministra", podnosi z powrotem tezę o niebezpieczeństwie, jakie stanowiłoby **„istnienie państwa ukraińskiego, mniej lub więcej niezależnego, u granic jego kraju".**

Comnene w odpowiedzi mówi o wspólnym interesie Polski i Rumunii wobec problemu ukraińskiego, zapytuje jednak, czy nie można by „żądać w Pradze zobowiązań przeciwko wszelkim działaniom antypolskim lub antyrumuńskim, jako odpowiednika gwarancji polsko-rumuńskiej, o jakiej była mowa w Monachium".

Znowu zabiera głos Beck, wysuwając inny argument: **potrzebę Polski bezpośredniej komunikacji z Węgrami, Włochami i Jugosławią.** Zaś na uwagę Karola, że Polska może korzystać z komunikacji poprzez Czechosłowację, Beck oświadcza, że nie ma zaufania do rządu praskiego i że zwłaszcza nie wierzy, aby mógł on posiadać dość autorytetu.

„Następnie zarysowuje on nową ideę: **konieczność stworzenia nowego ugrupowania, złożonego z Polski, Węgier, Rumunii, Jugosławii i Włoch.** Ideę tę formułuje on tylko w ogólnych liniach, jak gdyby od niechcenia. Ta nieuchwytna forma wyrażenia jego myśli, pozwala jednak dostatecznie wyczytać troskę, jaką mu stwarzają Niemcy oraz pragnienie stworzenia pierścienia przeciwniemieckiego."

Comnene był widocznie zaskoczony tym oświadczeniem. Z tą samą jednak rezerwą — jak twierdzi — i „ważąc słowa" zapytał Becka, czy nie uważa, że Czechosłowacja jest „u n e p i è c e m a i t r e s s e" Europy Środkowej i czy jej zachowanie nie leży w interesie innych państw tego obszaru. Następnie zwraca uwagę na fakt „najwyższego znaczenia", że **Niemcy wyraziły już swoją życzliwość „dla autonomicznej Rusi Podkarpackiej** w ramach federacji czechosłowackiej i że opozycja Węgier i Polski może je postawić w otwartym konflikcie z Rzeszą".

Beck odpowiedział jednak „z rozbrajającą pewnością siebie", że posiada zapewnienie ze strony wszystkich wielkich mocarstw, a w szczególności ze strony Rzeszy, że **kwestia Rusi Podkarpackiej nic ich nie interesuje.** Oświadczenie to powtarza Beck jeszcze raz, twierdząc, że posiada formalne zapewnienia i nawet wyciąga z kieszeni telegramy, „o których powiada, że otrzymał je od swojego ambasadora w Berlinie, a które potwierdzają to zapewnienie".

Na tym skończyła się główna dyskusja. Później wszyscy trzej spożyli obiad, a po obiedzie król rozmawiał z **Beckiem w cztery oczy.** Comnene notuje o tej rozmowie, którą znał widać od króla, że tym razem Beck mówił już otwarcie i gorąco **„o potrzebie utworzenia bloku pięciu państw, zdolnego przeciwstawić się dwóm nieprzyjaciołom pokoju: Rzeszy i Sowietom".**

Następna rozmowa, już bez udziału króla, odbyła się w wagonie sypialnym Becka z udziałem obu ambasadorów, rumuńskiego i polskiego oraz ministra Cadere. W rozmowie tej wysunięte zostały ze strony rumuńskiej wszystkie obawy Rumunii w stosunku do rewindykacji węgierskich. Minister Comnene zapytał m. in. jakie będzie stanowisko

Polski w wypadku zbrojnego konfliktu między Czechosłowacją a Węgrami. Odpowiedź Becka była wymijająca. Oświadczył on — notuje dosłownie Comnene, „Q u ' i l f a i s a i t d e s r e - r v e s f o r m e l l e s" odnośnie stanowiska swego rządu w tym wypadku.

Comnene zakończył rozmowę apelem pod adresem Becka, aby polityka polska miała na uwadze interesy swego sojusznika, Rumunii — i aby utrzymywała go w świadomości, o ile chodzi o jej zamierzenia.

Oto wersja Comnene'a, której prawdziwość, o ile chodzi o główne szczegóły, trudno podawać w wątpliwość w świetle późniejszych faktów. Relacja ta o nieudałych zabiegach Becka (gdyż Rumunia z obawy przed rewizjonizmem węgierskim nie wyraziła zgody na plan polski), chociaż w formie niezbyt przychylna, nie wystawia złego świadectwa polskiemu ministrowi, świadomemu zbliżającego się śmiertelnego niebezpieczeństwa dla Europy ze strony „agresorów" niemieckiego i rosyjskiego.

T. P.

»NAPRAWA« WYCHODZI Z MROKÓW

O „Spowiedzi pokolenia" Tadeusza Katelbacha*)

Na wstępie ustalmy. „Spowiedź pokolenia" Tadeusza Katelbacha nie jest żadną spowiedzią. Brakuje w niej bowiem tego, co w spowiedzi jest rzeczą najistotniejszą, to jest żalu za grzechy. W ogóle o grzechach czy pomyłkach własnych i swojej grupy politycznej „Naprawy" nie ma mowy. Grzeszą natomiast wszyscy inni. Narodowa Demokracja, ludowcy, chadecy, masoni, ba, nawet... piłsudczycy. Ale oczywiście ci inni piłsudczycy. Pułkownicy, monarchiści, totaliści, oeneryzujący i antydemokratyczni. Ci „komentatorzy Piłsudskiego", którzy rządzą i którzy biednych naprawiaczy zaciekle zwalczają nie chcąc ich dopuścić do władzy. Spowiedź ta jest więc raczej namiętnym oskarżaniem innych.

Jest to poza tym, chyba pierwszy tego rodzaju opis działań, dążeń i poglądów tej formacji politycznej, która ciągle, zwłaszcza w życiu polskim politycznym na emigracji odgrywa i jak wynika z przedmowy autora ma i na przyszłość ambicję odegrania pewnej roli politycznej. Dotychczas pojęcie „Naprawa" było czymś mglistym i mało określonym. Mackiewicz niewątpliwie demonizował znaczenie tej grupy, inni uważali ją za twór bezpowrotnie skończony. Wielką zasługą autora jest, że wreszcie dowiadujemy się dokładnie, jaki jest rodowód wielu ludzi, z którymi stykamy się w życiu codziennym i gdzie się ta dotychczas nieokreślona plazma „braci zetowych" zaczyna, a gdzie się kończy. Przyczyni się to niewątpliwie do rozjaśnienia wielu mroków i umożliwi łatwiejsze uporządkowanie i właściwe uszeregowanie grup politycznych polskich działających na Zachodzie.

Książkę można by podzielić na trzy części. Okres młodzieńczy do czasu odzyskania niepodległości, w niepodległej Polsce i od klęski wrześniowej do powołania rządu Arciszewskiego.

Część pierwsza jest napisana najlepiej i ma wiele walorów. Przede wszystkim widać, jak autor starał się przenieść w młodzieńczy okres przed czterdziestu, trzydziestu laty, kiedy to działania całego młodego pokolenia polskiego bez względu na różnice przekonań były owiane niewątpliwym idealizmem i kiedy sam okres historyczny w przededniu „wybuchu" niepodległości narzucał inny styl w pracy społecznej, politycznej czy wojskowej.

Przeżycia młodego Katelbacha nie są czymś nadzwyczajnym. Takie same lub bardziej interesujące miało tysiące innych chłopców w jego wieku. Przeciętność jednak tych przeżyć oddana z dużą bezpośredniością i dokładnością przez autora stanowi także urok tej książki, coś jakby swoiste „Noce i dnie" Dąbrowskiej.

Ewolucja od socjalizmu poprzez organizację wojskową piłsudczyków do szczególnego typu nacjonalizmu zetowskiego (secesja ze Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego) a potem naprawiackiego odbiła się niewątpliwie i na późniejszych poglądach autora. Jest u niego, wychowanego na broszurkach socjalistycznych pod okiem Norberta Barlickiego, stały sentyment do PPS, do socjalizmu, do lewicowości. Oczywiście było to raczej podejście teoretyczno-inteligenckie bez pogłębienia zagadnień socjalnych. Zrozumiała jest również w tym okresie nienawiść do Dmowskiego i Narodowej-Demokracji. Jeśli jednak można wybaczyć autorowi jako piętnastoletniemu chłopcu, że nie rozumiał istoty polityki Dmowskiego, to formułowanie w trzydzieści pięć lat później tezy (w rozdziale końcowym), iż Dmowski nie stał na stanowisku pełnej niepodległości i niezawisłości Polski, należy raczej zaliczyć do kategorii trwałych kompleksów. Kompleks „antyendecki" dominuje zresztą nad całością książki i najbardziej nadaje jej piętno tendencyjności.

To co ujmuje w pierwszej części, to pełne sentymentu opisy Warszawy niepozbawione patosu, a jednak szczere.

Ale Katelbach w tym pierwszym okresie swego życia to przede wszystkim student. Przewódca lewicowej części studentów. W hierarchii życia studenckiego osiąga wszelkie możliwe szczyty. Ten fakt pozostawia silny ślad w całej jego osobowości. Nie tylko zresztą u niego, ale i u wielu innych naprawiaczy i ich przyjaciół z tego okresu pozostanie to znamię studenckości. Do bujnego okresu Zjazdu Akademickiego w czasie obrony Lwowa w 1918 r., czy momentu tworzenia Rzeczypospolitej Akademickiej — tak nota bene potem tępionej przez Jędrzejewiczów — będzie Katelbach stale nawracał. Ciągle, jeszcze w 1938 r. będzie się starał odtwarzać porozumienia z „tamtych czasów". Boleje nad brakiem tej młodzieży wśród naprawiaczy, stara się zreorganizować ZPMD, rozumie, iż bez młodego pokolenia nie może żaden obóz polityczny przedłużyć swego istnienia. Brak młodzieży stanowi i obecnie nielada problem dla piłsudczyków, od których dawni wychowankowie zgrupowani obecnie w Nidzie coraz bardziej się oddalają. Wygląda na to, iż „Spowiedź pokolenia" ma być jeszcze jedną próbą pozyskania szeregów młodych, stąd w książce tej patos i całkowita bezkrytyczna gloryfikacja Piłsudskiego, na którym skupia autor wszystkie światła, rozkładając umiejętnie cienie na jego otoczenie i robiąc z niego „bohatera, wodza i męża stanu w jednej osobie".

Okres niepodległości spędza autor w połowie za granicą, a w połowie w kraju. W tej części książki najciekawsze są oczywiście opisy pobytu w Niemczech i na Litwie.

Z wynurzeń na tematy wewnętrzne uderzają u tego ex-socjalisty i demokraty zachwyty nad konstytucją kwietniową. Wprawdzie do ordynacji wyborczej ma autor zastrzeżenia, ale ostatecznie, bierze bezpośredni udział w kampanii wyborczej na podstawie tej samej ordynacji, aby wejść do sejmu czy senatu. Podobnie rzecz ma się w stosunku do góry rządzącej Polską pomajową i do Ozonu. Pisze autor, że „Rozejrzawszy się w rządzącej Polską górze doszedłem do wniosku, że poza kilkoma ludźmi jest ona niesłychanie słaba i naprawdę rozumie już tylko jedno, że po prostu ma się utrzymać przy władzy". Ozon nazywa „sztuczną koncepcją" — nie przeszkadza mu to w popieraniu tej „góry" do końca i w wejściu do zarządu Ozonu z ramienia Naprawy.

Ówczesna taktyka Naprawy to wewnętrzny krytycyzm reżymu, przy osiąganiu wszelkich korzyści z popierania tego reżymu oraz usiłowanie zrzucenia z siebie odpowiedzialności za rządy pomajowe wobec opozycji, z którą stara się utrzymać jak najlepsze stosunki „towarzyskie". Tę taktykę lawirowania można najlepiej zaobserwować w wystąpieniach Katelbacha na terenie senatu, czy to w kwestii młodzieży akademickiej czy w sprawach mniejszościowych. A w ogóle „pokolenie" porusza się po Polsce trochę jak Alicja w Krainie Czarów. Z tarasu Café Clubu w Warszawie, czy z dorożki we Lwowie rzeczywistość „wbrew opozycyjnym krakaczom" wygląda wcale różowo. Niestety, pamiętamy ją trochę inaczej.

Dlatego łatwo jest autorowi na przykład sprowadzać wszelką działalność młodzieży akademickiej do zajść antyżydowskich i zrzucać winę za jej wystąpienia na „starych menerów partyjnych", a może i dotychczas autor nie wie o tym, że w roku wojny, w marcu 1939 roku pod okiem samego premiera, premiera owego najdłuższego i najtrwalszego w Polsce rządu, tę samą górę kadecką, której autor kiedyś bronił przed Ukraińcami zdobywało kilkuset policjantów, walcząc, zdobywając i „pacyfikując" II Dom Techników i, że do końca, do klęski taka była wobec młodzieży akademickiej polityka, nie ministra oświaty, ale całego rządu, całego systemu, i że nie bynajmniej sprawa żydowska, czy afera profesora Bartla była tego powodem, ale nienawistny stosunek owej sanacyjnej góry do młodego pokole-

*) Tadeusz Katelbach: „Spowiedź pokolenia". Lippstadt, 1948. Stron 310 i 2 nl. Cena 15/6.

nia, które dość mało trzynastoletniej dyktatury i które oceniając „górę" identycznie jak pan Katelbach wyciągało z tego wnioski. Można by oczywiście napisać gruby tom polemiczny na temat każdego z zagadnień „wewnętrznych" omawianych w książce, poruszam tu tylko incydentalnie jako fragment sprawę młodzieży akademickiej, aby wykazać, że polityka naprawiaczy to było nakładanie plasterków na jątrzące rany, aby się przypodobać wszystkim i otrzymać oklaski z obu stron, istoty problemów nie zgłębiając.

Tendencyjna jest oczywiście w tej części książki próba odfaszyzowania reżymu pomajowego, a ubrania w faszyzm, czy tendencje profaszystowskie oczywiście narodowców.

O swoich przyjaciołach z czasów akademickich, którzy potem zresztą opuścili szeregi Narodowej Demokracji jak Tadeusz Kobylański, Stanisław Strzetelski i inni, pisze p. Katelbach, iż „Ideologicznie wszyscy oni na pewno byli o całe niebo mniej demokratyczni od najbardziej niedemokratycznych piłsudczyków spod znaku BBWR lub OZN", a w innym miejscu „Narodowa Demokracja z przyległościami zakochała się w faszyzmie". Przede wszystkim musi autor wyjaśnić, czy chodzi o Narodową Demokrację, czy o przyległości. Jeśli chodzi o Narodową Demokrację, w której wewnętrzne stosunki autor miał przez kolegów „pokoleniowych" tak dobry wgląd, to chyba dobrze wiedział, że odwrotnie jak to było stale w piłsudczyźnie, nie uprawiała ona bynajmniej kultu wodza, zwalczała konstytucję kwietniową w myśl właśnie zasad demokracji, nie opierała swej aktywności na II Oddziale i bagnetach policyjnych i nie ma na swym sumieniu Brześcia i Berezy. Od samego początku „nowej" polityki Becka wobec Niemiec, głównego, światowego ośrodka faszyzmu żywiła do niej nieufność, pierwsza przed Beckiem sformułowała postawę Narodu Polskiego wobec groźby agresji tychże Niemiec.

Aby przerwać ten ton polemiczny na chwilę zakończę omawianie tej części książki na wesoło, stwierdzając, że autor nieco przesadził wymieniając jako wybitnych działaczy Stronnictwa Ludowego zaraz po Rataju, dwóch zresztą bardzo sympatycznych panów przebywających obecnie na emigracji Zygmunta Rusinka i Jerzego Kuncewicza. Coś tu z proporcją wyszło niedobrze.

Trzecia i najkrótsza część jest i najsłabsza. Ale i trudno o jakieś rewelacje o okresie niedawno minionym i w publicystyce gruntownie przerobionym.

Uderza przede wszystkim nastawienie niezmiernie krytyczne autora do wszystkiego, co się działo na emigracji. Krytycyzm ten działa przygnębiająco i nie jest dobrą pożywką dla „młodych Polaków" przybywających z kraju czy kontynentu. Byliśmy krytyczni podobnie jak i autor do wielu posunięć i linii politycznej rządów gen. Sikorskiego i Mikołajczyka i dawaliśmy temu wyraz w czasie trwania tych rządów głośno i otwarcie. Ale przecież w sumie było na emigracji i wiele rzeczy dobrych i pozytywnych i te pozostaną trwałą wartością. I tu na odmianę autorowi przesłania wszystko działalność Modelskiego i Kota, która zwłaszcza z perspektywy czasu nabiera coraz bardziej cech tragikomicznych. Zapatrzony w postacie Raczkiewicza i Sosnkowskiego nie widzi innych sił i innych działań na emigracji, które przecież istniały i one to właśnie sprawiły, że ośrodek polityczny w Londynie pomimo nacisków anglosaskich w całości zachował swój instynkt narodowy, nie ugiął się i uratował możliwości dalszej walki o niepodległość.

Powołanie rządu antyjałtańskiego w listopadzie 1944 r. tłumaczy po prostu „decyzją Prezydenta", tak jakby ten rząd był w ogóle możliwy, gdyby nie działalność tych ośrodków politycznych, które od 1941 r. prowadziły konsekwentną akcję przeciw polityce kapitulacyjnej. Pomija tu oczywiście milczeniem działalność głównego trzonu politycznego obozu antykapitulacyjnego, to jest Stronnictwa Narodowego i zapomina zupełnie o ofiarnej i dzielnej akcji Związków Ziem Wschodnich, które swymi manifestacjami i wystąpieniami popularyzowały w społeczeństwie polskim w W. Brytanii ideę niezależnej polityki polskiej. Czyżby zapomniał o swoim własnym udziale w pięknym wieczorze poświęconym Obronie Lwowa w ponurej sali katedry Westminsterskiej w grudniu 1943 r. przy niedużej jeszcze frekwencji osób, w tej sali, która była później widownią tylu imponujących manifestacji w obronie całości Rzeczypospolitej.

Trudno w tym krótkim szkicu omówić refleksyjny rachunek sumienia, który zamyka tę „spowiedź", który stanowi głębszy akord w tej interesującej i dobrze napisanej książce.

Uwaga końcowa nasuwa się chyba jedna.

Jeśli tak się szczęśliwie dla pewnego pokolenia polskiego złożyło, że przeżywało ono radosny okres tworzenia się odrodzonego państwa i jeśli państwo stworzyło potem wielu ludziom z tego pokolenia takie warunki, iż pozbawieni trosk materialnych mieli możność studiowania za granicą i specjalizowania się w wielu problemach i zagadnieniach, to niech pokolenie to służy swym kapitałem doświadczeń sprawie ogólnej, a nie stara się na nowo w oparciu o wybujałą ambicję grupy uprawiać harce na odcinku emigracyjnym i prowadzić „politykę naprawiacką". Będzie to na pewno z większą korzyścią dla Polski, a i samej Naprawie oszczędzi jeszcze jednego z wielu rozczarowań.

JERZY PAŃCIEWICZ

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

PAMIĘTNIKI GEN. ANDERSA

Władysław Anders: BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU. WSPOMNIENIA Z LAT 1939 - 1946. Montgomeryshire Printing Company Ltd. Str. XIII i 447. Styczeń, 1949.

Naszej powojennej dokumentacyjno-politycznej literaturze przybyła nowa bardzo cenna pozycja: wspomnienia gen. Andersa z czasów ostatniej wojny.

Książka ta, wydana w bardzo starannej szacie zewnętrznej, stanowić będzie niewątpliwie jedno z ważnych źródeł do historii sprawy polskiej w czasie ostatniej wojny, wyszła ona bowiem spod pióra człowieka, który swoją indywidualnością i energią był po stronie polskiej jedną z głównych postaci naszego dziejowego dramatu lat 1941-6.

Kto by nie znał gen. Andersa i wiedział o nim tyle tylko, że był twórcą wojska polskiego w Związku Sowieckim, a potem dowódcą okrytego sławą wojenną 2 Korpusu polskiego we Włoszech mógłby przypuszczać, że wspomnienia gen. Andersa należą do literatury dla wojskowych i że na, ich treść składać się będą głównie opisy prac organizacyjnych w ramach Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR względnie opisy bitew, w których gen. Anders jako dowódca 2 Korpusu brał udział. Książka gen. Andersa ma jednak zupełnie inny charakter. Na pierwszy plan wybijają się w niej nie sprawy wojskowe lecz zagadnienia polityczne i te właśnie części wspomnień autora ogniskują na sobie głównie uwagę czytelnika nie zaś opisy działań wojennych, którym z natury rzeczy w książce autor musiał poświęcić dość dużo miejsca.

Podkreślając polityczny charakter książki gen. Andersa trzeba zaznaczyć, że utrzymana jest ona w tonie, który nikogo, kto nie odpadł od obozu walki o prawdziwie wolną i niepodległą Polskę, nie może razić, i że polityczne zainteresowania gen. Andersa, którym w swej książce daje wyraz, dotyczą międzynarodowego aspektu sprawy polskiej, a nie wewnętrznych rozgrywek i walk polskiego obozu.

Książki gen. Andersa w krótkim recenzyjnym artykule streścić się nie da. W istocie rzeczy jest ona bowiem historią sprawy polskiej w czasie wojny, widzianą oczami gorącego patrioty-żołnierza, który w beznadziejnym nawet położeniu nie traci wiary w przyszłość i pomimo pełnej świadomości, że Anglosasi opuścili Polskę i oddali ją na łup Sowietom umiał do ostatka wytrwać na powierzonym mu posterunku.

Sugestywna siła tej książki leży nie tyle w politycznym toku rozumowania jej autora, bo tok ten w niczym właściwie nie odbiega od myśli i uczuć ogromnej większości naszej emigracji, co w protokolarnych niemal opisach jego spotkań z ludźmi, którzy w ostatniej wojnie decydującą odegrali rolę. Z rozmów ze Stalinem, w których gen. Anders brał udział jasno rysuje się azjatycka chytrość sowieckiego dyktatora, który nawet w niewygodnej i moralnie trudnej do obrony sytuacji umiał zachować pozory, że dobro Polski i jej obywateli leży mu na sercu. Ten spryt i przebiegłość Stalina w dużej mierze przyczyniły się do wyprowadzenia w pole jego wielkich partnerów, do pewnego zaś stopnia wzbudziły nawet fałszywą wiarę w dobrą wolę Rosji u niektórych czołowych naszych polityków, którzy ocknęli się wprawdzie ze swych fałszywych złudzeń, ale za późno. Gen. Anders złudzeń tych nie miał i wyposażony w najlepszy z wszystkich możliwych „dyplomów sowietoznawstwa" — w doświadczenia bezpośredniego zetknięcia się z sowiecką rzeczywistością w sowieckim więzieniu

— trafnie umiał ocenić i odgadnąć prawdziwe intencje sowieckiego partnera.

Pod tym względem szczególnie pouczające są rozmowa gen. Andersa z Churchillem w czasie jego wizyty w 2 Korpusie, oraz rozmowa z Mikołajczykiem przed jego wyjazdem do Polski. Obydwaj rozmówcy gen. Andersa, uważający się za realistów w polityce, poważnie brali pod uwagę możliwości zgodnego współżycia świata cywilizacji zachodniej z Rosją i obydwaj łudzili się, że Rosja żywi przyjazne intencje wobec Polski. Realizm i należyte zrozumienie interesów Polski, ich zdaniem, nakazywać winny polskim politykom wyjść tym intencjom naprzeciw.

Książka gen. Andersa wykazuje, jak dalece fantastyczne były marzenia jego rozmówców, jak natomiast prawdziwe były oceny rozwoju stosunków gen. Andersa i tych wszystkich Polaków, którym wówczas z najwyższych miejsc odmawiano rozumu politycznego!

Książkę gen. Andersa winni czytać nie tylko Polacy. Lektura jego pamiętników będzie niewątpliwie bardzo pouczająca dla cudzoziemców, którzy nie rozumieją istoty polsko-sowieckich stosunków i uświadamiając sobie fakt, że Polska została haniebnie zdradzona przez własnych sojuszników, nie rozumieją jeszcze jakie konsekwencje dla Europy i świata ze zdrady tej wynikają już dziś i wynikać będą w przyszłości.

Kończąc te krótkie uwagi o książce gen. Andersa wyrażamy nadzieję, że „Bez ostatniego rozdziału" ukaże się niedługo w przekładach i stanie się orędownikiem naszej sprawy wśród obcych.

ST. SKRZYPEK

NA REALNEJ PODSTAWIE

Dr Stanisław Skrzypek: UKRAIŃSKI PROGRAM PAŃSTWOWY NA TLE RZECZYWISTOŚCI. Nakładem Związku Ziem Południowo-Wschodnich. Londyn, 1948. Str. 106 plus 1 mapa.

„Gdyby Polacy, zamiast spierać się o to, jakie rozwiązanie kwestii ukraińskiej byłoby dla Polski najkorzystniejsze, gruntowniej przyjrzeli się rzeczywistości ukraińskiej i własnej,oraz zajęli się zapoznaniem pozostałej odłogiem opinii świata zachodniego z różnorodnymi aspektami całokształtu zagadnienia ukraińskiego, to okazałoby się, że o porozumienie się między nami co do naszej postawy wobec tego problemu byłoby łatwiej, a równocześnie sprawie naszej walki o Ziemie Południowo-Wschodnie oddalibyśmy rzetelną przysługę." Tymi słowy kończy swoją broszurę pt. „Ukraiński program państwowy na tle rzeczywistości" dr Stanisław Skrzypek.

Treść broszury zdaje się w pełni uzasadniać tę końcową tezę. Podczas gdy lokale kawiarniane i salki odczytowe rozbrzmiewają beznadziejnymi dyskusjami „ukraińskimi", opartymi przeważnie na wspomnieniach z roku 1919 lub echach rzeczy opublikowanych przed blisko ćwierćwieczem, dr Skrzypek siadł do pracy nad całą dostępną literaturą statystyczną i polityczną. Bogata literatura, której spis znajduje się na końcu broszury, składa się, rzecz charakterystyczna, przeważnie z pozycji ukraińskich. Pozycje bibliograficzne doprowadzone są aż do czasów ostatnich i zawierają powojenne publikacje emigrantów ukraińskich, a także nieliczne dostępne dane cyfrowe z Sowietów po wojnie. Autor nie omija nawet artykułów w prasie tzw. DP ani wydawnictw powielanych.

Książka składa się z czterech rozdziałów, nierównej zresztą wagi i rozmiaru: pierwszy omawia ukraiński program terytorialny i jego uzasadnienie etnograficzne, ekonomiczne, geograficzne i historyczne; drugi, najważniejszy, poddaje ten program krytyce, kolejno analizując dane etnograficzne, historyczne, ekonomiczne i geograficzne, a przede wszystkim odtwarzając na podstawie dostępnych źródeł i własnych obliczeń analitycznych obecny stan narodowościowy Ukrainy i przemiany zachodzące w nim oraz skutki ostatnich wstrząsów i perspektywy na przyszłość; w trzecim autor omawia ukraińskie możliwości państwowe; w czwartym rozważa sprawę stosunku polskiego do problemu ukraińskiego.

Rozpatrzenie różnych programów ukraińskich prowadzi do wniosku, że jakkolwiek różnią się one poważnie pod względem projektowanego zasięgu terytorialnego przyszłego ewentualnego państwa ukraińskiego na wschodzie, i, gdy jedne domagają się sięgnięcia głęboko za Ural, inne zadowalają się granicą na Kaukazie, to wszystkie zgadzają się co do proponowanej granicy na zachodzie, która ma obejmować m. in. Łemkowszczyznę, Przemyskie, Chełmszczyznę, Podlasie, Czarną Ruś i południowe Polesie. Pośrednie potwierdzenie tego wniosku znaleźć można w fakcie, który zaszedł ostatnio, już po napisaniu książki przez dra Skrzypka. Jest nim wyłonienie organu wykonawczego przez zjednoczoną radę emigracji ukraińskiej i poprzedzające je oświadczenia. Rada mianowicie uznała prezydentem republiki starego działacza z Ukrainy kijowskiej Andrzeja Liwickiego, który tytuł ten piastował już przedtem, ale tylko z ramienia „petlurowców". Uznanie go przez inne kierunki, wśród których zdecydowaną przewagę posiadają lwowscy Ukraińcy wywodzący się z OUN, poprzedzone zostało uroczystym oświadczeniem Liwickiego, że umowa polsko-ukraińska z r. 1920 (umowa Piłsudski-Petlura) ustalająca granice obu narodów na Zbruczu, przestała obowiązywać i nikogo z Ukraińców nie może wiązać.

Państwo, jakie Ukraińcy pragnęliby mieć, obejmowałoby ponad pięćdziesiąt milionów ludności, w tym, według danych przedwojennych ponad jedną trzecią mniejszości narodowych jak 8,5 miliona Rosjan, 3 miliony Żydów, 2,4 miliona Polaków. Autor poddaje analizie również argumenty ekonomiczne i historyczne Ukraińców, często mające charakter bardzo naiwny.

Niesposób tu, nawet w skrócie, powtórzyć żmudnych obliczeń statystycznych, jakie przeprowadza dr Skrzypek w drugiej części swej pracy, by dojść do przybliżonej oceny rzeczywistego obecnego stanu narodowościowego i składu społecznego Ukrainy. Wnioski jego są zastanawiające i przekonywające dzięki swej podbudowie fak ycznej. Oblicza on ostatecznie, że „...na obszarze dzisiejszej Ukrainy Sowieckiej... w r. 1947 mogło być najwyżej 21-22 milionów Ukraińców, a więc około 55 pct ogółu ludności" (str. 45). „Zebrawszy Ukraińców ze wszystkich zakątków świata razem, naród ukraiński nie liczyłby więcej jak 31-32 milionów (21-22 milionów na obszarze dzisiejszej Ukrainy Sowieckiej plus 7 milionów na obszarze ukraińskiej diaspory w Sowietach plus 1-2 milionów na obszarze ukraińskich aspiracji państwowych w Związku Sowieckim poza granicami Ukraińskiej SSR plus około 1,5 miliona na obszarze Europy i Ameryki), a więc o 20-25 milionów mniej niż trzeba do normalnego zaludnienia i zagospodarowania tych najbogatszych bodaj w Europie obszarów" (str. 46).

Pogarsza dla Ukraińców sprawę skład zawodowy ludności ukraińskiej. Na przedwojennej części Ukrainy Sowieckiej 90,7 procent ludności ukraińskiej żyło na roli. Miasta były w jednej czwartej rosyjskie, w jednej czwartej żydowskie, a w jednej trzeciej ukraińskie. Wśród studentów prawie jednakowo liczne były grupy: rosyjska, żydowska i ukraińska. Większość robotników przemysłowych stanowili Rosjanie. Nie lepiej przedstawiał się przed wojną układ socjalny społeczeństwa ukraińskiego w Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. W wyniku wojny, jak oblicza autor, procent ludności ukraińskiej w miastach USSR spadł do 30.

Omówiwszy stan uświadomienia politycznego mas ukraińskich i wpływy poszczególnych kierunków, autor dochodzi do wniosku, że: „Biorąc ludność ukraińską na Ukrainie Sowieckiej jako całość, możemy stwierdzić, że ogromną większość tej ludności stanowi bierna politycznie masa chłopska, drugą z kolei siłę stanowi obóz ruso — względnie sowietofilski, na który składają się dawne elementy rusofilskie oraz nowe wychowane w komunistycznych ideałach pokolenia. Obóz ten popiera zdecydowanie koncepcję federalistyczną i stanowi w społeczeństwie ukraińskim najpoważniejszą i politycznie aktywną siłę. W razie zaistnienia sprzyjających okoliczności ukraińscy niepodległościowcy mogą zyskać na wpływach, przewagi jednak bez poparcia owej najszerszej, politycznie biernej, masy chłopskiej nie osiągną. Za kim się ten bierny element wiejski wypowie i czy w ogóle zajmie jakieś zdecydowane w sprawie przyszłości Ukrainy stanowisko, trudno dziś jest przewidzieć". Poważnym ciosem było przyłączenie do Sowietów ziem wschodniej Polski: „W miarę upływu czasu coraz jaśniejsze się jednak staje, że ukraiński dorobek wielu dziesięcioleci na ziemiach polskich został w ostatniej wojnie całkowicie zniszczony, że owo „zjednoczenie", z którego Ukraińcy tak się cieszą, ułatwia tylko wytępienie resztek ukraińskich patriotów, którzy tam jeszcze zostali i sprawie niepodległości Ukrainy wcale nie pomaga, ale szkodzi...".

Autor odnosi się z całą sympatią do ukraińskich aspiracji państwowych. U-

waża jednak za niemożliwe zbudowanie tzw. Wielkiej Ukrainy od Tatr po Kaukaz. Jeżeli nawet kiedyś mocarstwa zachodnie zdecydują się na stworzenie niepodległej Ukrainy, sami Ukraińcy nie będą w stanie urzeczywistnić jej w zamierzonych granicach. Przesunięcie Ukrainy na zachód, tak by obejmowała ziemie od Sanu i Wieprza oznaczałoby niemożność posiadania obszarów wschodnich decydujących gospodarczo, przede wszystkim Zagłębia Donieckiego. Taka Ukraina nie miałaby danych do samodzielnego bytu gospodarczego, a ponadto składałaby się z zupełnie różnych pod względem geograficzno-politycznym obszarów, z których jeden sięgałby w basen naddunajski i stawiał nowe państwo w stałym konflikcie z wszystkimi zachodnimi sąsiadami, a drugi byłby marginesem Rosji. Jedynym wyjściem wydaje się autorowi Ukraina z Donbasem ale bez Lwowa, Użhorodu i Czerniowiec.

Omawiając stosunek Polaków do kwestii ukraińskiej dr Skrzypek ułatwia sobie nieco zadanie przedstawiając dwa poglądy skrajne, ale niepoważne. Jednym z nich jest „intermarynizm" czyli program federacji od Adriatyku po Zatokę Fińską i Kaukaz, który tym się odznacza, że poza Polakami nikt nie chce o nim słyszeć, a drugim marzenia asymilacyjne w połączeniu z marzeniem o przesunięciu granic polskich po Dniepr. Krytyka tych dwóch koncepcji ułatwia autorowi uwypuklenie własnego stanowiska. Robi przy tej okazji trafną uwagę psychologiczną: „...chcąc udostępnić jego (tj. problemu ukraińskiego) zrozumienie dla opinii tych narodów i państw, które... będą miały w sprawie przyszłego układu politycznego w Europie środkowo-wschodniej wiele do powiedzenia, musimy... stawiać go na szerszej, europejskiej płaszczyźnie politycznej, a nie zacieśniać go do wąskich, dla umysłowości społeczeństw zachodnich często niezrozumiałych ram jakiegoś prowincjonalnego polsko - ukraińskiego sporu".

Główna wartość broszury p. Skrzypka leży w zebraniu i ocenie materiału faktycznego. Jest to robota, do której, niestety, publicyści polscy biorą się jak najniechętniej. Bez tej roboty jednak wszelka dyskusja „ogólna" i „ideowa" staje się jałowa i nie tyle akademicka co studencka. Dr Skrzypek pierwszy od czasu wojny, nie tylko wśród Polaków, usiłował zdobyć i uporządkować dane cyfrowe i polityczne, owe „ponderabilia", bez których „imponderabilia" są najczęściej po prostu bujaniem. Wywody jego są przekonywające. Jeśli są w jakiejś części błędne, powinno być to dowodzone równie sumiennie i beznamiętnie. Tego rodzaju polemika rzeczowa mogłaby okazać się twórcza i pożyteczna. Czy nastąpi? Nie ma pewności. Dopóki nie nastąpi, tezy dra Skrzypka uważać możemy za prowizorycznie obowiązujące. Mają one charakter poważny i prawdopodobny. Usuwają one wiele mylnych poglądów i tzw. wrażeń.

Byłoby błędem sądzić, że rozważania autora w końcowych rozdziałach na temat możliwych granic przyszłej Ukrainy i realności jej powstania są przekonywaniem Ukraińców. Autor z góry zastrzega się przeciw temu, wiadomo zresztą, jak beznadziejne są takie tłumaczenia innemu narodowi, że coś leży lub nie leży w jego interesie i w jego możliwościach. Rozważania te są raczej wytyczeniem granic w jakich, zdaniem autora, obracają się możliwości kwestii ukraińskiej. Nie jest więc tak, jakby część statystyczna książki była uzasadnieniem jej części politycznej, raczej przeciwnie, uwagi polityczne są komentarzem do analizy statystycznej. W oparciu o tę analizę zbudować można rozmaite konstrukcje polityczne i uzasadnić różne wnioski — oczywiście różne nie znaczy dowolne, lecz dostosowane do danych rzeczywistości, jak je zebrał autor. Wnioski polityczno-programowe mają to do siebie, że zależą od ogólnego układu politycznego. Stąd ich względny charakter. Dane faktyczne mają wartość same w sobie i zmienić je mogą tylko nowe dane, a nie nowe plany czy wrażenia.

W broszurze dra Skrzypka zyskuje publicystyka polska, a może i światowa pierwszą po wojnie podstawę faktyczną do wnioskowania w sprawie demograficznej strony kwestii ukraińskiej.

W. W.

P.S. Strona graficzna broszury budzi pewne zastrzeżenia. W szczególności „wielopiętrowe" przypiski nie są łatwe do czytania.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ECHA ROCZNICY DMOWSKIEGO

Dziesięciolecie śmierci Romana Dmowskiego obchodzone było przez emigrację polską w szeregu krajów, zarówno nabożeństwami jak i zgromadzeniami publicznymi. Nie ze wszystkich krajów, zwłaszcza zamorskich mamy sprawozdania do chwili obecnej.

W Londynie w dniu 3 stycznia odbyło się w Little Brompton Oratory nabożeństwo przy licznym udziale wiernych. Wieczorem tegoż dnia w przepełnionej sali Ogniska Polskiego odbył się wieczór ku czci Romana Dmowskiego. Wieczór zagaił prez. T. Bielecki. Następnie min. Z. Berezowski wygłosił odczyt o założeniach polityki Dmowskiego i ich aktualnej wartości. Imieniem młodzieży przemawiał p. Hobler z Sekcji Akademickiej SN. Zebranie zamknął krótkim przemówieniem prez. Bielecki. W przerwach między przemówieniami p. W. Trościanko odczytał trzy fragmenty z dzieł Dmowskiego.

W Paryżu powstał komitet uczczenia pamięci Dmowskiego. Odbyło się nabożeństwo w kościele polskim przy r. St. Honoré oraz akademia wieczorna. Referat wygłosił p. F. Chmielewski.

Na terenie W. Brytanii nabożeństwa i zebrania odbyły się w wielu skupiskach polskich, m. in. w Edynburgu i Glasgowie. W Bruntingthorpe Camp pod Rugby zorganizowano wieczór ku czci R. Dmowskiego z udziałem ok. 200 słuchaczy. Zebranie zagaił p. St. Załęski, referat wygłosił prof. A. Żółtowski.

Stowarzyszenie Polskich Pracowników Fizycznych w Ashton n/L urządziło wieczór ku czci Dmowskiego w dniu 2 stycznia. Zebranie rozpoczęła deklamacja p. Marciówny, referat „Dmowski a Polska" wygłosił p. A. Łobodziński. Na zakończenie odśpiewano Hymn Młodych.

Tegoż dnia w hostelu Ashby Folville odbyło się nabożeństwo a wieczorem zebranie z odczytem „Rola Dmowskiego w odbudowaniu państwa polskiego".

W Penrhos Camp, w północnej Walii, nabożeństwo w dniu 2 stycznia odprawił ks. prałat Karkowski, zakończone modłami za spokój duszy Romana Dmowskiego.

* * *

W podpisie pod fotografią Romana Dmowskiego w poprzednim numerze „Myśli Polskiej" znalazła się przykra pomyłka. Nazwisko matki Dmowskiego powinno brzmieć **Józefa z Lenarskich.**

UPADEK KSIĘGARNI

Pogarszające się położenie materialne emigracji polskiej na Zachodzie — zwłaszcza kół inteligencji — powoduje już od dwóch lat spadek ilości kupowanych książek, a co za tym idzie spadek polskiej produkcji wydawniczej, który był szczególnie gwałtowny w roku ubiegłym. W związku z tym w ciężkiej sytuacji znalazły się również księgarnie polskie.

Londyn, na przeszło 20 tysięcy zamieszkałych tu Polaków, liczył do tej chwili pięć księgarni polskich: Orbis (38, Knightsbridge), który jest zarazem firmą wydawniczą, Księgarnię Polską W. Filskiego (252, Brompton Rd.), Składnicę Harcerską (5, Egerton Terrace), firmę Disce, prowadzącą do niedawna kiosk w Ognisku Polskim przy 55, Exhibition Road (kiosk ten przeszedł ostatnio w inne ręce), wreszcie księgarnię i skład papieru p.n. Earls Court Bookshop (38, Kenway Road). Istnieje nadto kilka pomniejszych miejsc sprzedaży czasopism i książek, otwartych bądź codziennie w pewnych godzinach (jak w Domu Stowarzyszenia Kombatantów, 20, Queen's Gate Terrace), bądź też tylko w pewnych dniach, czy przy pewnych okazjach (np. co niedzielę w Little Brompton Oratory, gdzie sprzedawane są czasopisma i broszury katolickie). Rozprowadzaniem książek zajmuje się poza tym kilka instytucji społecznych.

Przy obecnym stanie zapotrzebowania na książki liczba księgarń i kiosków polskich w Londynie jest, jak się zdaje, za duża, tym bardziej, że wszystkie one skupiły się na niewielkiej przestrzeni między Knightsbridge a Earls Court. Ofiarą tego stanu rzeczy padła największa swego czasu — obok M. Kolina (późniejszego Orbisu) — księgarnia polska, którą założył zmarły w lutym r. 1947 Witold Filski. Mieściła się ona do połowy r. 1947 na Buckingham Palace Road, koło hotelu Rubens, w czasie wojny głównej kwatery polskich władz wojskowych, i przeżywała okres dużego powodzenia. Posiadała filie, później

zlikwidowane, w londyńskiej dzielnicy Hammersmith oraz w Lincoln, przy głównej ulicy tego miasta. Zmuszona opuścić lokal przy Buckingham Palace Road, przeniesiona została na Brompton Road. Po śmierci śp. Filskiego przeszła na własność jego rodziny i prowadzona była przez wykonawcę woli zmarłego. Była to jedyna księgarnia polska, która w skromnym zakresie prowadziła także antykwariat, mając na składzie stare książki, sztychy, mapy i inne „polonica“. Wciśnięta jednak w kąt mało uczęszczany, co upośledzało ją np. w stosunku do Orbisu, padła ofiarą obecnej biedy wśród Polaków i w dniu 26 stycznia rb. uległa likwidacji.

Notując ten fakt niewesoły, wyrazić należy nadzieję, że emigracji polskiej uda się, mimo wszystko, tak urządzić swe warunki materialne, by zdolna była podtrzymać — przynajmniej w pewnym zakresie— ruch wydawniczy i jego placówki księgarskie. Rzecz inna, że obie te dziedziny wymagają reorganizacji i uporządkowania.

SPROSTOWANIE

W notatce pt. „Wieczór Conradowski w Londynie“, zamieszczonej na str. 15 w poprzednim numerze „Myśli Polskiej“ w ustępie trzecim zaszła omyłka, wywołana niedopatrzeniem korekty. Ma być: dwudziestopięciolecie zgonu Conrada, przypadające na rok bieżący, a nie: dziesięciolecie.

NA MARGINESIE

ZA CZERWONĄ TARCZĄ

JEDNYM z najbardziej nieznośnych kompleksów w kulturze jest kompleks kabotyna. Jakoś nie umieją intelektualiści wytrzymać, żeby nie uszminkować się jak stara kokota - aktorzyca na prowincjonalnej scenie. Nieraz zresztą taka charakteryzacja jest dla nich jedynym możliwym startem w życiowej karierze. Dlatego zapewne osiemnastoletni poeta czy malarz o Mickiewiczu lub Rembrandcie odzywa się — „te stare patałachy...“ Walka o własne miejsce w życiu to nie żarty. Zresztą — nie przesadzajmy — pewna doza kabotyństwa jest czymś tak naturalnym i powszechnym, jak pstrokacizna kolorów w piórach papugi. Warunki, w których człowiek jest zupełnie „przezroczysty“, bez żadnych tajemnic, pozy i niespodzianek, są ideałem jednego tylko ustroju, bolszewickiego, gdzie jakakolwiek tajemniczość, indywidualizm itp. znajduje swój epilog w łagrze.

Tym się dotychczas jeszcze Polska różni od Sowietów w dziedzinie zróżniczkowania gatunkowego ludzi, że jak dotychczas pozostawiono drzwi otwarte dla wszelkiego rodzaju kabotyństwa. Pod tym względem nie ma prawie grupy społecznej, która by w tej dziedzinie nie stawała do „socjalistycznego wyścigu“. Książę Radziwiłł przy Bierucie udaje „biedotę wiejską“, Bierut przy nim konstytucyjnego prezydenta, dawne żuliki wileńskie występują w charakterze „ministrów“ i kadzą sobie nawzajem jak mogą. Nawet wileńska poczwarka (ex) Dziewicka-Sztachelska szaleje dziś jako erynia rewolucyjna i nie mając poczucia śmieszności pozuje na fuehrerkę płci słabszej, emancypowanej na wzór sowiecki. Jeden z „katolickich“ [illegible] w wywiadzie prasowym wyzn[illegible] że z książek to najbardziej lubi Tołstoja i Ewangelię... Brr! W dodatku fotografuje się z łopatą przy „odgruzowywaniu“ Warszawy.

Swego rodzaju rekordzistą w kabotyństwie jest Jarosław Iwaszkiewicz. Przykładów na to można by z ostatnich lat nazbierać na porządne studium o kabotynie idealnym.

A oto ostatnio, w swoim piśmie założonym i prowadzonym dla celów propagandy sowieckiej w Polsce, Iwaszkiewicz drukuje modne obecnie w Polsce „listy do żony“. Nawiasem trzeba wtrącić, że Gałczyńskiego listy do żony z Moskwy, obrzydliwe, wazeliniarskie, przykład rzadkiego upodlenia w literaturze, spotkały się z potępieniem... nawet ze strony, skąd ten pijaniucha nie oczekiwał, a mianowicie innych entuzjastów Moskwy, którym reportaże listowe i autoreklama Ildenfonsa wydały się za mało poważne, jak na tak wielki temat.

A może w ten sposób społeczeństwo daje wyraz swemu obrzydzeniu? „Listy z Ameryki“ Iwaszkiewicza, drukowane w „Nowinach Literackich“ (nr 52) pisane rzekomo na kolanie, w samolocie, do jakiejś „mojej drogiej“ pełne są oczywiście uwag o żarciu, o dziewczynach i o chłopcach.

„Nazywa się Karol Mickiewicz, ma 20 lat, podobny do Janka Kreczmara, a może nawet do swego imiennika w młodości wspartego na skale, szeroki podbródek, małe wypukłe usta, jest także z Wilna, ale ma minimalny akcent, wychował się w Warszawie, już chce wracać do Polski, matka w Łodzi, ojca Niemcy zabili... Patrzy na mnie pytającym wzrokiem, bo tam podobno... ostatnio... Dwóch Mickiewiczów Adam i Karol spać mi długo nie dało. I księżyc i zapach liści zbutwiałych i Polska... Całuję jak kocham Jarosław“...

Z „tamtym pierwszym“, Adamem spotkanie nastąpiło na placu Alma w Paryżu. „Wiesz — pisze Iwaszkiewicz do „swojej drogiej“ — nigdy nie miałem osobistego stosunku do pana Adama, ale tutaj nagle, w tym tłumie wydał mi się żałosny i bliski. Skąd on tutaj? Nikt go nie zna, nikt nic o nim nie wie, sierżanty i adwokaty co rządzą Zachodem nie znają nawet jego nazwiska, a on taki dziwny tutaj w tym Paryżu, taki prowincjonalny, a zagubiony, taki „z Wilna“...

Żeby zaś nie było wątpliwości, gdzie Mickiewicz jest na swoim miejscu, nie prowincjonalny, nie zagubiony i nie... z Wilna, na tej samej stronie „Nowin Literackich“ podana jest czytelnikom do naocznego przekonania się reprodukcja rzeźby moskiewskiej „Puszkin i Mickiewicz“, zdobiącej ścianę domu w Moskwie. Tylko że tam, mimo wszystko, Iwaszkiewicz stara się jeździć... jak najrzadziej.

* * *

Skoro jesteśmy przy literaturze, warto zanotować jeden fakt przyjemny. Tzw. deklaracja pisarzy wobec Zjednoczenia Klasy Robotniczej, czyli wiernopoddańczy akt uległości wobec dalszej sowietyzacji Polski nie zawiera wśród kilkudziesięciu nazwisk niemal nikogo poważnego. Sama komunistyczna, alkoholowa i oportunistyczna zbieranina. „Pisarz, którego posłannictwem jest kształtowanie sumień i świadomości ludzkiej w duchu sprawiedliwości i postępu nie może pozostać wobec takich wydarzeń obojętny“... Dalej następują bzdury o realizacji tej sprawiedliwości, o „skazanych na zagładę formach przeszłości“, a przy końcu, przed szeregiem podpisów tej moskiewskiej szkoły literackiej — takie zdanie: „Dlatego my, pisarze polscy, pomni wielowiekowych tradycji wolnościowych literatury polskiej i naszych obowiązków wobec narodu i kultury witamy...“ etc.

A w przemówieniu na kongresie Julian Tuwim, jeden z „reprezentantów kultury polskiej“, i tych jej tradycji wolnościowych, mówi: „Na jednej szóstej naszego globu powstało, umocniło się i w swym rozwoju niepowstrzymanie idzie naprzód, państwo i społeczeństwo, które zmiażdżyło przemoc kapitalistów i za burtę wyrzuciło wyzysk człowieka przez człowieka. Od tej olbrzymiej czerwonej daty na kalendarzu historii zaczęła się na ziemi nowa epoka“.

Tak mówi Julian Tuwim, nazywający siebie reprezentantem literatury polskiej, o Rosji Sowieckiej, gdzie miliony Polaków w obronie właśnie nie czego innego, jak tradycji wolnościowych usłało stepy, tajgi i kopalnie, gdzie ludzi skrycie zamordowanych nawarstwiano w dołach Katynia, gdzie dotychczas gnije człowiek w masie kilkunastu lub kilkudziesięciu milionów. MEDEKSZA

„MYSL POLSKA“
założona w 1941 r. w Londynie.
ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street.
London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s lub 4 dol.
Prenumerata roczna (12 numerów) £.1 4s Od lub 8 dol.

Printed for „Myśl Polska“ by „Veritas Foundation Press“, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734. February, 1949.